







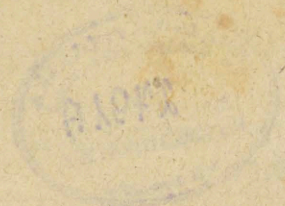
SOLDAT





WIKTOR GOMULICKI

## SŁDAT



1322

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
I OZNAN - - - - - WARSZAWA





884-311.2

Dad.  
22/10.45d.

CZCIONKAMI DUKARNI ŚW. WOJCIECHA



Troje dzieci bawiło się w ogrodzie: dwóch chłopczyków, jedna dziewczynka. Dzieci były rodzeństwem. Dzielila je mała różnica wieku. Razem nie miały całych lat trzydziestu.

Ogród był zwykłym ogrodem miasteczkowym. Zrobiono go z połowy obszernego podwórza. Od ulicy miał stary, wysoki parkan, pełen szpar, z deskami poczerniałymi, po których rozłaziły się mchy siwe, zielonawe i rdzawo-żółte. Po przeciwnej stronie ogrodu, górne deski parkanu były wylamane. Odsłaniał się stamtąd widok rozległy i dość piękny.

Wylom w parkanie łatwo było naprawić; jednak mijały tygodnie, a nikt o tem nie pomyślał. Był to taki czas, że nie zajmowano się wcale parkanami, ogrodami i mnóstwem innych rzeczy potocznych.

Miały stąd korzyść dzieci, które przez ów otwór obejmowały wzrokiem kawał świata — wydający im się często całym światem.

Zaraz za parkanem biegła wąska, niebrukowana, wielkimi łopianami zarosła uliczka. Za uliczką był plac pusty, rozbie-



leniony tu i owdzie płatami krótkiej, rzadkiej murawy. Na placu pasał się zwykle wielki wół, przywiązany grubym sznurem do białego na środku pola.

Dalej połyskiwały niebieskawe zagony kapusty, a zaraz za nimi płynęła leniwie odnoga rzeki.

Na rzece stał młyn. Stał, ale nie poruszał się. Młody młynarz jeszcze wczesną wiosną wywędrował, i wieści o nim nie było.

Był to taki czas, że wiele warsztatów, wiele gospodarstw i wiele pracowni ludzkiej myśli zatrzymywało się nagle w ruchu, naksztalał nienakreconych zegarków.

Po drugiej stronie rzeki rozkładały się wielką, szaro-zieloną płaszczyzną miejskie pastwiska. Barwnymi, niesymetrycznie rozrzuconymi plamami błyszczały tam konie i krowy „łyków“. Gdy wiatr z tej strony zawiał, dochodziły do uszu dzieci ryki i rżenia, które w oddali nabierały nuty żałości.

Za pastwiskami stał las ciemny, przepaścisty, tajemniczy. W ten las najpilniej wpatrywały się dzieci. Czynili to również i starsi.

W tej chwili starszy z chłopców pracował nad przymocowaniem sznura od huśtawki do uschniętego drzewa wiśniowego. Drugi uganiał się za pszczołą, usiłując pochwycić ją z tyłu za skrzydełka. Dziewczynka, tuż przy parkanie od ulicy,

robiła w ziemi patykiem małe dolki i wsadzała w nie zerwane kwiatki oraz gałązki, urządzając „ogródek“. Od kilku miesięcy całe dnie upływały dzieciom na zabawie. Do książki nikt ich nie napędzał. Jakos i o nauce w owym czasie zapomniano.

Zresztą, nie było komu uczyć. Pan Władysław, młody praktykant miernictwa, od którego dzieci lekcje brały, wyjechał zgoła niespodzianie. Wyjeżdżając, do podróznego tłomoczka zabrał śliczną amarantową czapkę, którą mu panny na droge uszyły.

Cicho było w całym miasteczku, cicho i w ogrodzie. Nagle wśród tej ciszy rozległ się głośny krzyk dziewczynki. Zerwała się z ziemi — w przerażeniu wielkiem do braci przybiegła.

— Co to? co się stało? — spytała zaniepokojeni.

— Ktoś patrzy — wyjąkała.

— Kto? gdzie?...

— A... o... tam.

I wskazała paluszkami na parkan.

Chłopcy rzucili się, jak dwa koty.

Do parkanu była przytulona postać olbrzymia. Oczy, w otworze po wypadłym soku umieszczone, przenikliwie rozglądały się po ogrodzie.

Młodszy chłopiec wyrzucił jedną szparą, potem drugą — i odsunął się pomieszany.



— Cóż to, Leszek, boisz się? — zadrwił starszy.

W odpowiedzi chłopczyna wyprężył drobne ciało, jak zabierający się do skoku „sprężyk“, i cienkim głosem zawołał:

— Panie żołnierz! proszę odejść!...

— To nie żołnierz. to żołdat — objaśnił starszy.

I zaraz sam wykrzyknął, piskliwiej jeszcze:

— Niech żołdat sobie idzie!

Leszek chciał okazać się jeszcze odważniejszym.

— Wynos się, żołdat! — na cały głos zapiał.

Wróciła też odwaga i dziewczynce, która zawołała rezolutnie:

— Tu nie potrzeba żołdatów!

Ale olbrzymia postać nie ruszała się z miejsca, a oczy w otworze parkanu patrzyły coraz przenikliwiej i coraz straszniej.

Dzieciom przyszedł na myśl wilk żelazny z bajki, który „dziko spoziera i mówi: zjem was tera.“ Zbiły się w gromadkę, jak wystraszone owce, i coraz głośniej wykrzykując, coraz dalej odsuwały się od parkanu.

Gdy znalazły się już za rozłożystym krzakiem bzu, czupurny Leszek pochwycił grudkę zeschłej ziemi z zagonu i rzucił ją w parkan.

Postać odlepiła się od desek — odeszła.

Dzieci przez całą resztę dnia mówiły o tem nadzwyczajnem zdarzeniu. Opowiedziały też o niem matce (ojca od kilku tygodni w domu nie było), przyczem Leszek nie zaniedbał przedstawić siebie za bohatera.

Matka okazała zaniepokojenie, i ostrzegła dzieci, że w podobnych wypadkach najlepiej „udawać, że się nie widzi“...

Nazajutrz rodzeństwo zabawiało się, jak zwykle, w ogrodzie. Kazio, najstarszy z trojga, schwytał żywą szczypawkę, i pokazywał ją Leszkowi, czyniąc uczone uwagi nad anatomją owada. Przysłuchiwała się im i Jadzia. Dla bezpieczeństwa, szczypawka przybita była szpilką do ławki.

Przy ławce skupili się wszyscy troje z rozszerzonymi od ciekawości oczami. Ale, choć owad i jego haczykowate, do obcęgów podobne, szczypczyki mocno ich zajmowały, przenosili jednak chwila wzrok ze szczypawki na parkan.

Wczorajsze zjawisko dotąd spokoju im nie dawało.

Tym razem jednak, choć sporo ludzi przechodziło ulicą, nikt nie zjawiał się przy parkanie.

Po chwili już ich szczypawka przestała zajmować. Puścili ją na wolność



(ze szpilka tkwiąca w tułowi), i siadłszy rzędem na ławce, znów jeli rozprawiać o wczorajszym wypadku.

— A ja wam mówię, że się złakł! — dowodził Leszek.

— Jakem ja krzyknął: wynoś się!.. — zaraz od parkanu odstąpił — twierdził stanowczo Kazio.

— A jak jemu oczy świeciły się... ojej! — przypominała Jadzia.

Przytem wszyscy troje, z wielkim rozmachem, bujali wiszącymi w powietrzu nogami.

— Wiecie co? ja się go nic a nic nie bałem — odezwał się po chwili najstarszy.

— Ja tak samo. Wielka rzecz żołdat! — zawołał młodszy uragliwie.

— Niechby zaczął — to, jakbym go chwycił...

— I jaby mu dał radę, jak nie!

— Kpie sobie z żołdatów!

— Dla mnie taki żołdat, tyle, co mucha!

Dziewczynka milczała. Oczy jej, na braci zwrócone, wyrażały uwielbienie.

W tej chwili, w przeciwnej stronie ogrodu ozwał się szmer. Odwrócili się wszyscy szybko, i — zdrtwili.

Przy rozwalonym do połowy parkanie, stał wczorajszy żołnierz.

Mieli wielką chęć uciec, coś im jednak władzę w nogach odjęło. Jak urzeknięci, siedzieli w miejscu, wpatrując się wyteżonym wzrokiem w zjawisko. A zjawisko takimże wzrokiem w nich się wpatrywało.

Pierwsza Jadzia zesunęła się jakoś z ławki i za drzewem ukryła. Poszedł wkrótce za jej przykładem Kazio. Leszek ostatni opuścił stanowisko.

Drzewo miało galezie risiko opuszczone. Zasłaniając patrzących, nie zakrywało im widoku. Dzieci mogły stosować się ściśle do rady matczynej: udawać, że nic nie widzą, a jednak widzieć.

Żołnierz, wychylony do połowy, z poza parkanu wydał im się olbrzymem. Miał ramiona niezmiernie szerokie, twarz wielką, okrągłą. Pod czapką bez daszka twarz wydawała się tem większą i tem okraglejszą. Oczy, głęboko osadzone, patrzyły i teraz tak przenikliwie, że dzieciom, nawet w ukryciu, słabo się robiło.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli.

Nagle żołnierz zanucił, rękę po sam łokieć w bezdennej kieszeni zanurzył i wyciągnął krótką, drewnianą fajeczkę. Tuż przy parkanie stał chlewek, którego szpary były pozatykane grochowinami. Żołnierz wyskubał trochę suchych liści,



roztał je między szerokimi dłońmi i tym prochem nabił fajeczkę. Potem, przy pomocy krzesiwka i hubki, zapalił ją i otoczył się dymem niebieskim.

Palil i przyśpiewywał głosem cienkim, dziwnym przy jego olbrzymiej postaci.

Pałac i przyśpiewując wodził oczywiście wysoko po wierzchołkach drzew, po kominach, po chmurach, które na letnim niebie stały nieruchomo...

Dzieci, widząc, że o nich zapomniano, wysunęły się z kryjówki. Kazio ujął Jadzię za prawą rękę, Leszek za lewą — i cała trójka, przytulona do siebie, z otwartego miejsca przyglądać się zaczęła „sołdatowi“.

On skończył fajkę i na dzieci spojrzał. Ale spojrzał tym razem tak jakoś dziwnie, że nie poczuły żadnej ochoty do ucieczki. Wytrząsnął z fajki popiół, do kieszeni ją schował. Zaraz potem z tejże kieszeni wydostał trzy małe, żółte, dziwnego kształtu przedmioty. Dwa ujął w lewą rękę, trzeci w prawą, i zwrócony do dzieci, począł owe przedmioty podnosić i zniżać, przysuwać do siebie i oddalać — zupełnie jak lalki w jasełkach.

Dzieci ledwie mogły ustać na miejscu, tak były widowiskiem zaciekawione.

Dostrzegł to żołnierz. Przez parkan przechylił się i zawołał:

— Ej! mileńkie wy moje...

Było to tylko powiedziane, zabrzmiało jednak, jak śpiew. Nuta śpiewu wydawała się dzieciom miłą, ton — słodkim i pociągającym. Uczuły, że trwoga poczyna ustępować im z duszy.

— Mileńkie, przemileńkie! — śpiewał dalej olbrzym. — Nie bójcie się wy sołdata. Sołdat nie wilk, nie ukąsi...

Zupełnie już się nie bały, i tylko dla honoru nie porzucały stanowiska obronnego.

On jeszcze próbował przyzywać je śpiewnymi słowami, widząc jednak, że trwają w uporze, złożył swe żółte laleczki na słupie, i odszedł krokiem powolnym.

Dzieci przeprowadzały go długo oczami. Gdy zniknął za kuźnią, w odległości kilkuset kroków, rzuciły się do słupa. Leżały tam trzy pierniki, barwy jasno-żółtej, czerwoną farbą pomalowane, mające przedstawiać panów i panie, trzymających się pod boki.

Każde chwyciło jeden piernik, poczem wszystkie swój łup w triumfie do matki zaniosły.

Matka przykazała najsurowiej, aby, gdy tylko ów żołnierz się pokaże, pierniki zostały mu natychmiast zwrócone.

Jak doszło do tego, że w tydzień potem „sołdat“ nie stał już za parkanem, lecz siedział na nim, z nogami zwróco-



nemi do ogrodu, dzieci zaś stały tuż przy nim, w pozycji zupełnie przyjacielskiej?

Prawda, że żołnierz trzymał w ręku kawałek miękkiego drewna, z którego nożykiem wspaniałego konia wyrzynał, lecz — dlaczego dzieciom wolno było pozostawać z nim w takiej zażyłości?

Jak się zdaje, wpłynęły na to dwa głównie powody: dobroć i taniość „sółdackiego“ chleba, oraz lenistwo Marcysi, służącej do wszystkiego.

Żołnierz zjawił się pewnego dnia z wielkim, jak koło od wozu, bochnem razowca, na którym wypisana była kredą jego waga. Za pośrednictwem dzieci ofiarował sprzedaż tego bochna pani Zrzelskiej, ich matce. Oszczędna Zrzelska, skombinowawszy wagę chleba z żadaną ceną, uznała interes za korzystny dla siebie, i żołnierza przywołała do kuchni.

Na widok wchodzącego, Marcysia, która w pocie czoła czyściła wielki samowar, wybuchnęła dziwnym śmiechem. Zarzuciwszy też zaraz chustkę na głowę i gołe ramiona, wybiegła z pośpiechem za drzwi.

Żołnierz powiódł za nią oczami i — żałośnie westchnął.

Targu prędko dobito. Gdy Zrzelska przy zapłacie chciała jeszcze grosz czy dwa grosze ująć, żołnierz rzekł głosem śpiewającym:

— Nie targujcie się, barynia. Na przykładu pannie Marcysi samowarczyk pięknie oczyszcze. A chleb pożywajcie zdrowo i wy, i rebiatuszki...

Chleb da wodą —  
Mołodieckaja jedą!

Jakoż zabrał się wkrótce do samowara i w kilka minut nadał mu połysk nadzwyczajny.

Dzieci, choć już z dawnej trwogi ochłonęły, nie śmiały zbliżyć się do „sółdata“. Stojąc jednak u progu, przez cały czas oka zeń nie spuszczały.

Dopiero po odejściu żołnierza zjawiała się zpowrotem Marcysia. Na widok samowaru, udała zagniewaną.

— Patrzcie go! — rzekła. — co jemu wścibiać nos w cudze samowary. Pilnowałby lepiej swego kociolka i kapusty z sadłem!

Znać jednak było, że ją cieszy wyłączenie w robocie.

— Znasz go? — spytała Zrzelska.

— Co nie mam znać! Toć włóczy się ciągiem za mną po przywodziu, jak ten komar za muchą.

— Jaki komar? za jaką muchą? — zakrzyczały rozciekawione dzieci. — To musi być bajka — powiedz nam ją, moja złota!



— Co za bajka? Nie żadna bajka, jeno „śpiwka“.

I zaśpiewała fałszywie:

Poszła mucha po wodę, po wodę  
Z dużemi wiadrami;  
Komar za nią, komar za nią  
Z długimi nogami.  
Poszła mucha po wodę, po wodę  
Do zimnego źródła,  
Komar za nią komar za nią —  
Nie dał jej spokoju.

Nazajutrz, przy parkanie odbyła się nowa scena kuszenia. Żołnierz przyniósł małą, czerwonym papierem oklejoną, harmonijkę, i wygrywać na niej zaczął. Wygrywał naprzemian: skocznie i żałośnie.

Któreż dzieci nie lubią muzyki! Kaziowi i Leszkowi podrygiwały nogi do taktu „dumkom“, „szumkom“ i „byczkom“; wreszcie nie mogli wytrzymać, i razem z Jadzią tańczyć zaczęli na ścieżce.

Żołnierz aż się zanosił od śmiechu.

— Ach ty, Boże mój! — po swojemu zaciagał. — Ach, wy, miśńkie! Ach, po ciecha! Ot wam jeszcze raz! i jeszcze raz! Dusze wy moje!

Sojusz ostatecznie został zawarty. Tegoż jeszcze dnia dzieci weszły w bliź-

szą zażyłość z uniformem soldackim, który zaciekał je w wyższym jeszcze stopniu, niż sam soldat.

Czapka bez daszka była przymierzana kolejno przez całą trójkę; policzono wszystkie guziki u mundura; został wreszcie wyciągnięty z pochwy krótki, szeroki „tasak“, którego ostrość wypróbowali chłopcy na deskach parkanu.

Odtąd nie było prawie dnia, aby „soldat“ nie potrafił przysłużyć się czemś małym Zrzelskim, ich matce lub Marcysi.

Wyrzynie koni z drzewa należało do talentów, któremi dzieci w podziw wprawiał i zniewalał sobie. Na nieszczęście, te konie bywały stale oszpecone pewnym szczególnym dodatkiem. W miejscu, zajmowanem zwykle przez jeźdźcę, żołnierz pozostawiał spory kawałek nieobrobionego drewna.

Gdy dzieci prosiły, aby wyrzynał jeźdźcę, odpowiadał z powagą:

— Nie, nie można. To już drugie robia.

Żołnierz pochodził z wioski, której mieszkańcy zajmowali się zimą wyrabianiem zabawek. Aby robota szła prędzej, każdy wprawiał się w jedną tylko specjalność; ten, kto wyrzynał konie, nie brał się nigdy do jeźdźców, i odwrotnie.

Po dłuższej nieobecności, Zrzelski powrócił do domu.

Soldat.

2



Był to człowiek w średnich latach, gadatliwy, usposobienia żywego. Z widoczną trudnością przychodziło mu trzymać na wodzy słowa i być spokojnym a ostrożnym; tego zaś najbardziej warunki chwili wymagały.

Zrzelski nosił włosy długie, ztyłu podwinięte, jak Garibaldi, wąsom zaś swym i brodzie starał się nadawać kształt wąsów i brody Wiktora Emanuela. Czynili to wówczas wszyscy — rozumie się ci, co czynić to mogli.

Powrócił tajemniczy i roztargniony, i zaraz po przywitaniu się z rodziną, wybiegł na miasto. Miał tam widać wiele spraw do załatwienia, bo nawet obiad zjadł w cukierni. Przebywała tam zresztą podówczas po całych dniach cała męska ludność miasteczka.

Dzieci, jak zwykle, pozostawione sobie, poszły bawić się do ogrodu. Niebawem zjawił się i „sółdat“.

Tego dnia oddał się całkowicie na usługi Marcysi. Powynosił z kuchni, co tylko tam było mosiężnego i miedzianego, i przygotowawszy wielki zapas tłuczonej mialko cegły, rozłożył się z całym taborcem na trawniku, przed uschlą wiśnią. Zdjął szynel, na drzewie go powiesił, — potem w samej koszuli, koloru lila, zabrał się energicznie do pracy.

Po obiedzie wrócił Zrzelski. Zapytał: gdzie dzieci? a usłyszawszy, że w ogrodzie, zbliżył się do okna, aby je zawołać. Zaledwie wyrzał, czoło zmarszczyło mu się straszliwie — od okna odskoczył...

— A ten co tu robi? — mruknął gniewnie, zaciskając zęby i z wysiłkiem głos tłumiąc.

— To dobry człowiek — odpowiedziała Zrzelska. — Pomoc mam z niego. Czyści naczynia, wodę nosi, dzieci zabawia.

— Takich tu nie trzeba! Do zabawiania dzieci jest kto inny. Jak mogłaś przyścić soldata do poufałości?

— Nie unós się, mój drogi. Wierz mi, że nie stanie się dzieciom żadna krzywda. Nie wpuściłam go do domu odrazu, ale przekonałam się, że to prosta, szczerza, pocziwa natura.

— Dla mnie dość, że...

— Uspokój się. Trzeba mieć trochę wyrozumiałości; trzeba w każdym ocenić przede wszystkim — człowieka...

— Babska polityka! — wybuchnął Zrzelski. — Układną miną, pochlebstwem nawet djabeł przeciągnie was na swoją stronę. Ale baby tu nie rządzą, i — ten tam nawet minuty dłużej tu nie będzie.

Nie panując już nad sobą, skoczył do otwartego okna, aby rzucić rozkaz poręczycy.



W tejże chwili rozległy się w ogrodzie krzyki. Zrzelski spojrzał i — skamieniał.

Przed oczami jego, z błyskawiczną szybkością rozegrała się scena wstrząsająca.

Do ogrodu przez wyłom w parkanie wpadł wół, i z nastawionemi rogami pędził prosto na dzieci.

Zanim jednak dobiegł, żołnierz zdażył swój szynel chwycić, i na łeb mu zarzucić. Jednocześnie sam do niego poskoczył. Rozjuszona zwierzę zatrzymało się na chwilę w miejscu — wówczas on porwał je za rogi, potężny łeb do ziemi przygłaskał, i krzyknął na dzieci, aby uciekały.

Straszna była walka człowieka ze zwierzęciem. Tylko taki olbrzym mógł być wyjść z niej zwycięsko.

Prawie siny z wysiłku, strumieniami potu ociekający, dotrzymał zwierza do chwili, aż nadbiegł jego właściciel z parobkiem. Omotano wołowi nogi sznurem i na ziemię go powalono.

Zrzelski wypadł jak piorun do ogrodu, chwycił w objęcia wylekłe dzieci, pocałunkami okrywać je zaczął.

Zwrócił się potem do żołnierza, który stał na stronie, ciężko dysząc, pobladły nagle, i zupełnie wyczerpany, z obwisłemi bezwładnie rękoma. Zdawało się przez chwilę, że i jego również w objęcia pochwyci. Opamiętał się jednak

i tylko dłoń olbrzyma w obie ręce ująwszy, silnie nią potrząsnął..

— Bóg ci zapłać, dobry człowieku! Bóg ci zapłać! — wybiegło mu z trudnością ze ściśnionego wzruszeniem gardła.

Gdy to mówił, miał oczy łez pełne. Nie pozwolił jednak ani jednej łzie spłynąć po twarzy.

W kwadrans potem, Zrzelski siedział przy stole, na którym znajdowała się wódka, przekąska i cygar pudełko.

Blisko drzwi stał wypróśtowany żołnierz.

— No, ziemiak — mówił Zrzelski, nalewając duży kielich po brzegi — wypij.

Żołnierz skłonił się w milczeniu, lecz po wódkę nie sięgnął.

— Czemu nie bierzesz? — nalegał Zrzelski.

— Pozwólcie, baryń. Ja niepijący.

— Ot, nowość! I dlaczego?

— Czorta budzić nie trzeba.

Podniósł łokieć do wysokości ust, jakby z ręki czynił barykadę.

Zrzelski głową pokręcił.

— A ot — ciągnął żołnierz — czaju toby się napił, i kielbasy zjadłby, jeśli pozwolicie.



Zrzelski zawołał o samowar, który zaraz też wniesiono, był już bowiem przygotowany do wieczornej herbaty.

Po chwili żołnierz trzymał w lewej ręce wylany na głęboką miseczkę wrzątek, w prawej — kawałek cukru, którego odrobinę ukruszał zębami przed każdym łykiem.

Usiąść, mimo nalegań nie chciał.

— Jakże cię zowią? — spytał Zrzelski, wysuwając na brzeg stołu talerz z kielbasą i bochenek chleba.

— Fiedor Nikiforowicz — wygłosił żołnierz uroczyście, jakby wielką wagę do imienia swego przywiązywał.

— A nazwisko?

— Żeliezni — brzmiała odpowiedź jeszcze urozystsza.

— To niby tożsamo, co Żelazny?

— Może być i tak.

— Słuchaj, Fiedor — mówił Zrzelski, nalewając żołnierzowi drugą filiżankę herbaty — ty mi się wydajesz dobrym człowiekiem...

— Tak, ja dobry człowiek — potwierdził tamten.

Było w tej odpowiedzi tyle prostoty i ujmującej szczerości, że mimowoli szacunek budziła.

— A jednak — ciągnął Zrzelski, kładąc kielbasę — nieraz już pewnie do ludzi strzelałeś?

— Jeden raz — po komendzie.

— I zabiłeś?

— Pticu.

— Jakto?

Fiedor postawił miseczkę na stole, pokłonił się, usta rękawem otarł. Znow się pokłonił, wziął kawał kielbasy z chlebem i wrócił na dawne miejsce.

— A ot, jak — rzekł, kawał wędliny przełknawszy. — Celujesz ty, bracie mój, dołem, a wystrzelił się tobie w górę. A w górze, wiadomo, pticy latają. Popadnie która pod kulę, tak i trup z niej.

Znow zabrał się uroczyście do kielbasy.

— A cygarko, ziemiak, zakurzysz? — spytał po skończonej przekasce Zrzelski, przybierając, dla przypodobania się gościowi, jego ton i formy mówienia.

— Jak nie zakurzyć! — rzekł żołnierz, zbliżając się do stołu.

Zanim sięgnął do pudełka, zapytał jeszcze:

— Pozwolicie, baryń, dwa?

— Weź dwa.

Fiedor pokłonił się i wyjął pokornie z pudełka dwa cygara.

— Drugie nie dla mnie — rzekł, usprawiedliwiając się.

— Dla kogóż?

— Dla Wasi.

— Któż to Wasia?



— Kto Wasia? — zaśpiewał przeciągłe żołnierz, zdziwiony zapytaniem. — Iwan Pantielejewicz, mój rodny.

Zawinał jedno z cygar w papier, i wsunął ostrożnie za cholewę.

— Ty wszakże Nikiforowicz?... — zauważył Zrzelski.

— Tak, a on Pantielejewicz. Znaczy: niejeden u nas ojciec. Ale matka jedna. Wasia młodszy. Ze wszystkim młody. Prosto powiedzieć: ditiatko.

— Gdzież ten Wasia?

— W gusarach służy. Gdzież jemu i służyć, jak nie w gusarach. Krasawiec taki. General jego lubi i przy sobie trzyma. Mówią, że w pisary pójdzie. Człowiek z niego może być ważny.

— Kochasz brata?

Na twarzy Fiedora znów się odmalowało zdziwienie. Ręka jego, niosąca kielbasę, zatrzymała się w powietrzu; usta otworem stanęły.

— Pomilujcie! — zaśpiewał. — O cóż tu i pytać? On u mnie prosto angiel.

Oczy jego, z natury pochmurne, zabłysnęły i poweselały, rażąco niskie czoło stało się wyższem i pogodniejszym; cała twarz rozjaśniła się, jakby słońce na nią padło. O kielbasie zapomniał.

— Ach wy, baryń mój! Wam nie znać, co u Fiedora na sercu. Cóż ja? prosty żołdat i człowiek prosty. Krugłe my sie-

roty: i ja, i Wasia mój. Choroba taka była, cholera znaczy, wszystkich nam zabrała. A matka, umierając, mówi: „Dla Wasi ty bądź brat, bądź ojciec i matuszka rodnaja.“ Tak ono i jest. Chował ja jego i uczył, pracował dla miłego. Krasawiec dziś z Wasi, maładiec! Zeszliśmy się tu u was, sława Bohu za to. Nie widzę ja Wasi, dusza jestem bez ciała; patrzę na młodca, tak i płakałby od uweselenia. Gołubczyk on mój! ditiatko moje!

Zrzelski rozstał się z Fiedorem prawie po przyjacielsku. Czuł, że ten prostak wywraca do gruntu cały jeden szereg jego pojęć, z pozoru na granitowej podstawie oparty.

Przez długi czas chodził po pokoju, paląc w milczeniu cygaro, zaponinając o żonie i dzieciach, zajęty jedną wyłączną myślą, która mu w duszy coś nakształt buntu wzniciła.

Nagle stanął przy stole z miną taką, jakby znalazł rozwiązanie trudnego zagadnienia. Po nowe cygaro sięgając mruknął:

— Wyjątek... Wyjątki reguły nie zmieniają!

Znacznie gorzej szło Fiedorowi z Marcysią.



Ile razy poszła dziewczyna do rzeki, była pewna, że zastanie tam „soldata“, który nietylko napełni jej kubły wodą, ale jeszcze, przyczepiwszy je do ciężkich nosideł, sam, na własnych barkach, odniesie do domu.

Powtarzało się to niekiedy dwa i trzy razy na dzień, przyczem żołnierz gadał zawsze jedno: że „włubił się na śmierć i życie w pannę Marcysię, i że panna Marcysia powinna mieć nad nim jakiekolwiek zmiłowanie.“

Ale dziewczyna wyśmiewała się głośno z jego czułych słów i z niego samego. Nie taką to drogą dobierano się zwykle do jej serca i względów. Proszący, pokorny zalotnik był w jej oczach niedołęgą. Za nic też miała Fiedora; poprostu poniewierała nim.

Gdy obciążony wiadrami żołnierz wstępował na stromą ścieżkę, wiodącą od rzeki ku miastu, Marcysia bawiła się popędzaniem go, bijąc pięściami po plecach i wykrzykując:

— Wio, konisko, wio!

Praczeki, piorące w rzece białiznę, i chłopcy, łowiący ryby, powtarzali za nią chórem:

— Wio!.. a wio!..

— Byłby ja sapożnik — skarżył się czasem Fiedor — albo drugi frant, polubiłaby mnie panna Marcysia.

— Ma się wie! — odpowiadała dziewczyna, krzywiąc pogardliwie nos zadartv. — Co szewc, to nie żołdat. Szewc buciki naprawi, na harmonji zagra, poromansuje galancko, a w niedzielę wystroi się, jak hrabia i na spacer zaprowadzi.

Szewczulek kochany,  
Z tysiąca wybrany,  
Od serca odjęty,  
Do boku przypięty.

Wówczas Fiedor, zapominając na chwilę o właściwej sobie skromności, sam siebie wychwalać poczynął.

— Nie frant ja — z powagą mówił — nie świstun. Człowiek ze mnie spokojny i zdatny. Stolarem był, w kuźni kuł, ziemię pachał, koło krów chodził i koło koni. Nie rozbójnik — i nie pijacy.

— Dziegciarz! — rzuciła dziewczyna z pogardą.

Przezawisko odnosiło się do zwyczajów, jaki zachowywał Fiedor i jego towarzysze. Nie było to wykwintne, ale było praktyczne. Dziegieć zmiękczał i ochraniał skórę butów, czyniąc ją zarazem nieprzemakalną.

W miasteczku handel dziegciem odbywał się na wielką skalę. W wąskiej uliczce, wiodącej do miasta, przed niskimi drewnianymi kramami, stały zawsze, wprost na bruku, wielkie maźnice.



napelnione dziegiem. Przechodzący żołnierz zatrzymywał się i opierał nogę o przygotowany w tym celu kamień. Potem, wyciągnawszy z maźnicy kwacz, omazywał cały but z cholewą tak suto, że smarowidło gęstymi kroplami na ziemię ściekało. Wywoławszy wreszcie z kramu żydówkę, rzucał jej do nadstawionego fartucha stałą zapłatę: grosz.

Dziegieć wydawany był à discretion, w przekonaniu, że nikt nie użyje go nad osobistą potrzebę, to znaczy: nie wysmaruje nim włosów, nie zje, ani do kieszeni nie schowa.

— Cóż dziegieć? — odrzekł poważnie Fiedor. — Dziegieć rzecz dobra i rzecz zdrowa — sapogi on w porządku trzyma i choroby nie dopuści.

Pomyślał chwilę i dodał:

— A nie chce panna Marcysia, tak mogą i nie smarować.

— Eh! wszystko mi tam jedno. I tak, i tak, będą z tego nici.

— Co takiego? — zaśpiewał Fiedor, nie rozumiejąc.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się służąca. — „Powiedziała Klara, że z nas będzie para; powiedział Fryc, że nie będzie nic“.

I wykręciwszy się, porzuciła zdumionego i rozżalonego zalotnika.

Niekiedy rozmowa przybierała formę poważniejszą. Bywało to, ile razy żołnierz wspomniał o ożenku. Najpuściejsze dziewczyny poważnieją, gdy rozmowa tego przedmiotu dotknie.

— Tyby nie upierała się tak, miła moja! — przemawiał Fiedor tonem czułym, ale cokolwiek energiczniejszym. — A to barynią być możesz, pomieszczycha. U mnie jest, w czernigowskiej gubernji, grunt po ojcu, i domik jest swój własny. Domik, on to, jest stareńki, ale nie bój ty się, Marcysia. Żonka będzie, to i domik wystroi się rozkoszny. Kurycy u nas będą i pietuchy, a już jak gołubi zaczęta tarabanić — prosto pociecha!

— Ty prawosławny — zauważyła w zadumie dziewczyna.

— Tak i cóż! Módl się ty do swojego Boha, ja będę do swojego. A w górze oni to już tam rozbiorą, który lepszy. Boh to jest i jeden, a w tem bieda, co ludzie nie jedni. Znaczy: jest naród dobry, jest i zły. Podleców to a rozbójników nie brakuje.

Obojgu przyszły na myśl dzieci, wstydlivość jednak, właściwa stosunkowi „kawalera“ do „panny“, mówić o nich nie pozwoliła.

Marcysia, po długiej zadumie, wypełnionej gryzieniem świętojańskiego chleba, odezwała się:



— Nie! nie! — to do niczego nie podobne. — A mnie poco na koniec świata jeździć? I tu męża dostanę.

Fiedor zamyślił się, — znać było, że walkę z sobą toczy. Potem rzekł słodko, jak zwykle, ale głosem zboliałym:

— Bóg z tobą, Marcysiu. Chcesz, to u was zostanę. Grunt sprzedam, domik sprzedam, wszystko sprzedam. Diengi wezmę, tak i kupię tu sobie sad jakiniebądź, albo łoszaki ze dwa, albo ławkę z miełoczem — cobądź popadnie. Człowiek ja zdatny, pracować potrafię. — Boh da, chleba będzie dosyć. Wystarczy dla nas i dla...

Zanim dokończył, już Marcysia, nie mogąca długo na miejscu usiedzieć, zerwała się z pogardliwym wykrzykiem:

— Eh! Zawracanie i tyle!..

I chwyciwszy konewkę z wodą, do domu pobiegła.

Dreczęła go na różne sposoby.

Jednej niedzieli po południu, wiedząc, że ją samą w domu zastanie, przyszedł z harmonijką. Była nadasana, skrzywiona — co on przypisywał serdecznemu zmartwieniu, a co pochodziło jedynie stąd, że szewc zrobił jej buciki ciasne. W dzień powszedni łatwoby sobie ulżyła, chodząc boso; przy święcie za żadne skarby nie uczyniłaby tego.

Aby smutną rozweselić, opowiadał różne żołnierskie dykteryjki, grał na harmonijce, podrygiwał. Puścił się nawet w „prysiudy“. Ale ona przyjmowała to wszystko obojętnie, z pogardliwym skrzywieniem.

Wreszcie rzekł:

— Ej, Marcysia, gołubuszka ty moja! Cóż ja? człowiek ciężki, prosto: miedwiedź. Ty mnie zapiej, mileńka. Po swojemu ty zapiej, słodko, znaczy... po duszy, po sercu zapiej!

Niby to nie chciała, niby to drożyła się — wkońcu zaśpiewała piskliwie:

Świeci księżyc, świeci  
Z tej strony ratusza;  
Nie kochaj Moskala  
Bo to podła dusza.

Bo to podła dusza,  
Bo to podle plemię:  
Ja do niego mówię,  
A on patrzy w ziemię.

Ja do niego mówię,  
On patrzy w obłoki....  
Wyśmiałam się z durnia,  
Aż mię bolą boki.

Fiedor słuchał, choć prawdę mówiąc, nie wiedział: weselić się, czy smucić. Sposepniał wkońcu, i gdy dziewczyna śpiewać przestała, ani słówkiem się nie odezwał.



Wkrótce potem wstał, harmonijkę do kieszeni schował.

— Nu, prosti, Marcysia — rzekł: — Boh z tobą. Do Wasi ja pójdę, do rodnego. On u mnie angiel prawdziwy.

— Ale, ale! — zawołała żywo dziewczyna. — Czemu to Fiedor nigdy brata nie przyprowadzi? To chłopak, jak malowanie!

— Da, da, „malowanie“ — przytaknął żołnierz. — On, panno Marcysiu, człowiek ważny, w pisary idzie. Daj Boh, coby najprędzej. A to teraz w pułku służba, nie družba.

— Z Wasią tobyśmy się wesoło zabawili.

— A jaby jemu zaraz po swojemu:

Ej, Wasia, Wasia, Wasia,  
Wasia, Wasia, nie szumi!

Raz jeszcze „Bogiem pozdrowił“ Marcysię i wyszedł.

Pod wieczór pewnego dnia upalnego gęste chmury zbierały się nad miasteczkiem. Zrzelski powrócił do domu silnie czemś wzruszony. Z żoną miał długą rozmowę na osobności, potem oboje zabrali się do wybierania i pakowania sprzętów kosztowniejszych. Napelnili

kosz i tłumok podróżny; jedno i drugie znieśli sami do piwnicy.

Marcysię zapędzono do noszenia wody. Musiała napelnąć wielką beczkę, stojącą w sieni. Przywołany ślusarz opatrzył pilnie zamki i rygle u wszystkich drzwi. Przygotowano też do nich z grubych drągów podpory.

Zrzelski, zapytany o powód ostrożności, odpowiadał niechętnie:

— Co się dziwi! Złodziejów pełno — podpalaczów... Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Z nadejściem wieczoru niespokojność jego wzrosła. Herbaty nie mógł dopić, ani cygara wypalić. Co chwila rzucał jedno i drugie — biegł do okna, to na podwórze.

Wypatrywał i nasłuchiwał, choć ani oko, ani ucho nie mogły pochwycić w bezdennej ciemności, w ciszy niezgłębionej.

Tak głuchoj nocy dawno już nie pamiętano. Zdawało się, że przyroda zamarła, że ludzi i ich dzieła pochłonęła nicość.

Dzieci kładły się zwykle spać przed dziesiątą. Tym razem, choć dziesiąta minęła, nie pomyślano o wysłaniu ich na spoczynek. Znużone, drzemały po katach, budząc się co chwila, i szeroko oczy otwierając. Niepokój rodziców i ich dusze nurtował.



Około jedenastej głuchą ciszę przerwał dziwny szum w górze. Był to jakby łopot miliona skrzydeł. Zdawało się, że ktoś spłoszył nagle stado orłów, które ocieżałym lotem przeniosły się z jednej skały na drugą.

Miedziane światło zamigotało u stropu nieba, odsłaniając na chwilę czarne, poszarpane, kłębiące się chmury. Wyglądały złowrogo. Widoczne było, że za niemi dzieje się coś strasznego.

Odtąd migotania i pomruki stały się częste. Rzecz okropna, długo w zaułkach nieba przygotowywana, przybierała kształty wyraźniejsze. Łada chwila objawić się miała w całej potędze i grozie.

Naraz otchłań zawrzała. Nappełnił ją zgiełk przeciągły — zgiełk ścierających się hufców wojennych. Już słyhać było poświsty wicherów, podobne do dyszenia olbrzymich miechów kowalskich; już urywane pomruki zlały się w jeden potężny odgłos grzmotu; już wybuchy światła, naprzemian oślepiająco białe i rude, poczęły następować po sobie tak często, że utworzyły jakby stałe oświetlenie obłocznej, wrzącej walka, areny...

A na ziemi wciąż trwała cisza.

Zdawało się, że sen ciężki, letargiczny, odrętwił całą ludność miasteczka, że ona straciła samopoczucie i instynkt zachowawczy — że nie otworzy oczu

wówczas nawet, gdy zabłyśnie przed nią ostrze zbójckiego noża.

U Zrzelskich jednak nie spano.

Gdy wybiła jedenasta, Zrzelski drzwi domu zarygłował i dragami popodpierał. Następnie wszystkim domownikom przejść kazał do pokoju; gdzie na stoliku pod ścianą stał, zdjęty z gwoźdza, obraz „Czestochowskiej“.

Lampę zgasił, do otwartego pieca wstawił zapaloną świecę. Blask przytłumiony padał wprost na obraz.

Wszyscy klękli i jeli odmawiać półgłosem litanję.

Zrzelski wywoływał nieco mocniej: „Święta Marjo! — Święta Boża Rodzicielko! — Święta Panno nad Pannami!“ — inni powtarzali przyciszonym chórem: — Módl się za nami!

W chwili, gdy pan domu, drżącym od wzruszenia głosem, wyrzekł: „Pocieszcicielko strapionych!“ — niebieskawe, elektryczne światło na jedną sekundę oblało modlących się, i zaraz potem okropny huk pioruna wstrząsnął domostwem.

Zadzwoniły szklane naczynia w szafie, zadzwoniła lampa i obraz święty. Następnie i w domu i poza domem zapadło wszystko w głębszą jeszcze ciszę.

Wśród tej ciszy, daleko gdzieś, w stronie rzeki i lasu rozległo się kilkakrotnie słabe puknięcie. Zdawało się, że



to ktoś z bicia trzasnął, albo z papierowej pukawki.

Na ten głos, dla innych zgoła obojętny, obojgu Zrzelskim tzy puściły się z oczu. Jednak litanji nie przzerwali.

Po minucie może dały się słyszeć w tej samej stronie, ale znacznie już bliżej, inne, głośniejsze puknięcia. Potem, gdzieś bardzo daleko, zagrzmiał wyraźny już wystrzał.

— „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata!“ — mówił, łkając, Zrzelski.

— „Zmiłuj się nad nami!“ — jęczały kobiety i dzieci.

Przeraźliwy szum rozległ się za oknami. Na czarnem niebie ognistą linię zakreśliła rakietą.

W tejże chwili, w głuchem dotąd miasteczku, zawrzała burza zmieszanych głosów. Ponowiły się wystrzały, tym razem bliskie i geste. Odpowiedziała im z nieba kanonada grzmotów.

Trwało, to dość długo, z rzadkimi przestankami. Podczas przestanków można było słyszeć jęklivy głos ratuszowego zegara, wybijającego zwolna północ.

W różnych punktach miasta ozwały się trąbki. Wprost domu Zrzelskich, w wielkim gmachu, zajmowanym przez

jenerała, zabłysło we wszystkich oknach światło.

Nie odmawiano już litanji, nikt jednak z kolan nie wstawał. Świeca zgasała. Z zaostrzonym w ciemnościach wzrokiem i słuchem, zwracali się wszyscy ku oknu.

Trąbienie, grzmoty, wystrzały, okrzyki, turkot kół, tętent kopyt mieszały się w chaotyczną, pełną grozy, wrzawę.

Po pewnym czasie stało się jasnem, że z jeneralskiej kwatery wyjeżdża kawalkata, złożona z szeregu wozów, wózków i karet, eskortowanych przez oddział kawalerji.

Wszystko to wyciągniętym kłusem przetoczyło się i przedudniło ulicą poza ogrodem.

Wielki dom opustoszał; światła pogasły; mury zwały się w jedną masę z bezgraniczną falą mroku.

W oddaleniu, głuchy turkot, od którego ziemia lekko drżała, oznajmiał o przestaczanych po nierównym bruku armatach.

Oddzielni jeźdźcy na ostro kutych, zdyszanych koniach, w różnych kierunkach przebiegali miasto galopem.

Głos trąbek, warkot bębnow, turkot i tętent stopniowo oddalały się; wrzaskliwa komenda i parskanie spienionych koni coraz bliżej dawały się słyszeć.



Wreszcie wrzawa, posuwając się ku zachodniej stronie miasta, prawie zupełnie przycichła.

Tymczasem od strony wschodniej głosy wystrzałów szły na miasto coraz śmielsze, bardziej prawidłowe, donioślej-sze.

Pędziły przed sobą tamtą, zamierającą już, wrzawę — pędziły huragan, który widocznie uchodził przed niemi, odstrzeliwując się niekiedy piorunem, jak rejterująca kolumna.

Nareszcie i te głosy scichły. Nastąpiła długa przerwa, wypełniona jedynie świstem wichru, mocującego się z drewnianem domostwem.

Nagle zakołatał ktoś gwałtownie do drzwi od podwórza. Głos donośny zawołał:

— Otwierajcie!.. Bóg wiara!..

— Sen mara! — odkrzyknął całą piersią Zrzelski, i zrywając się na równe nogi, pobiegł otwierać.

W jasno oświetlonym pokoju jadalnym, przy stole, zastawionym przekąskami, otoczony całą rodziną Zrzelskiego, siedział pan Władysław. Jadzie trzymał na jednym kolanie, Leszka na drugim. Stojący obok Kazio zabawiał się przy mierzaniu jego amarantowej czapki.

Zrzelski gościowi dolewał wina, Zrzelska podsuwała talerze z jedzeniem. Oboje powtarzali nieustannie:

— A pijże, a jedźże, Władziu kochany! Wymizerowałeś się tam, nieboraku!

On z wilczym apetytem wszystko pochłaniał, a jedząc za trzech, opowiadał za dziesięciu. Wychudły, od słońca i wiatru prawie czarny, humor miał wyśmienity, fantazję ogromną.

Burza ucichła. Zrzedniałe, w strzępy porwane chmury poleciały na zachód. Nad miasteczkiem niebo wyjaśniło się. Wypłynął księżyc, potrząsając srebrem domy, kamienie uliczne, drzewa, rzekę, łąkę i las milczący.

— A Stefa? Posłaliście po Stefę?..

— Cyt... Stefa za chwilę tu będzie — szepnęła Zrzelska. — Wyprawiłam po nią Marcysię.

Zrzelski zauważył:

— Przejdźmy gdzie indziej...

— Dlaczego? Tu nam tak dobrze.

— Ten pokój zanadto na widoku.

— To i cóż? My tu dziś panowie.

— Tak, dziś. A jutro?..

Tej nocy nikt nie spał w miasteczku. We wszystkich domach palono światła. Po ulicach snuły się gromadki ludzi, u-



branych niezwykle, ściskając się, gwarząc, przyśpiewując.

U Zrzelskich tylko dzieci spać poszły. Starsi przenieśli się do ustronnej izby w głębi korytarza. Służyła dawniej za spiżarnię; później urządzono w niej skład kosztów, łomoków i narzędzi mierniczych Zrzelskiego.

Izba miała jedno tylko, nieduże, okno, umieszczone wysoko i zakratowane. Panował tu zawsze półmrok. Nawet w ciągu dnia chodzono do izby tej ze światłem.

Prócz Zrzelskich i Władysława, znalazły się przy stole dwie kobiety: matka i córka. Matka była biednie ubrana, przedwcześnie zestarzała, ze stałym wyrazem smutku i przygnębienia w twarzy. Powieki miała czerwone, niewiadomo: od bezsenności, czy od płaczu. Córka przypominała świeżo rozkwitły fiołek, tak była świeża, powabna i skromna.

Obie wpatrywały się we Władysława — nie obie jednym wzrokiem. Wzrok panny, szatynki o szafirowych oczach, wyrażał bezgraniczną miłość, miłość „na życie i śmierć.“

Była narzeczoną tego dziwnego gościa, co się zjawiał w godzinie duchów, przy świetle błyskawic, przy muzyce trąbek, bębnow i wystrzałów.

Zareczyny odbyły się przed sześciu miesiącami; kiedy jednak ślub się odbędzie?

Matka była wdową po nauczycielu, który, zanim umarł, zdążył córkę wielu pięknych i mądrych rzeczy nauczyć. Miała i ona w dalszym ciągu te skarby ducha między lud rozsiewać i brać stąd środki życia dla siebie i matki — ale przyszła chwila zła i niewdzięczna dla nauki, i dla uczących.

Stefa odłożyła książki, zaczęła uprawiać inne, od matki przejęte, talenty. Stała się mistrzynią w robotach ręcznych, prześlicznie zwłaszcza wyszywała czarnymi perełkami na białym atlasie, a białą pelą na czerwonym...

Przy stole śmiano się i płakano naprzemian — niekiedy równocześnie. Śpiewano również, bo była to przedewszystkiem epoka pieśni i piosenek. Przyprawę życia brano za jego treść.

Biała twarz Stefy wydawała się białszą jeszcze przy czarnej sukni; patrząc na nią i na jej strój, Władysław zapytał:

— Długoż jeszcze tych kirów?

Pytanie, zwrócone do wszystkich i do nikogo, stało się hasłem do piosenki.

Panna miłym głosem, o altowym odcienu, zanuciła:



Schowaj, matko, suknie moje,  
Perły, wieńce z róż;  
Jasne szaty, świetne stroje  
To nie dla mnie już...

Obecni półgłosnym chórem śpiewowi  
towarzyszyli.

Druga strofa popłynęła akordami:

Niegdyś jam stroje, róże lubiła,  
Gdy nam nadziei wytryskał źródło;  
Lecz, gdy do grobu Polska zstąpiła,  
Jeden mi tylko pozostał strój:  
Czarna sukienka!

Śpiewającej może przyszedł na myśl  
ojciec niedawno zmarły, bo skończywszy  
piosenkę, łzami się zalała.

I znów, jako lekarstwo na łzy, śpiew  
się znalazł. Pieśnią wówczas rozławia-  
no się, i pieśń do osuszania łez służyła.

Władysław przysunął się do narze-  
czonej, małego wąsika podkręcił — rzeż-  
ko zaśpiewał:

Hej, dziewczyno, nie płacz wiele,  
Jedną tylko łezkę zroń;  
Wy się zbliżcie przyjaciele,  
Uściśnijcie bratnią dłoń.

Taki los  
Wypadł nam:  
Dzisiaj tu,  
Jutro tam!

Piosenka była z przed wielu lat —  
ochocza, żołnierska. Dzwoniły w niej

ostrogi, szczekała szabla. Wszyscy ją  
umieli, więc wszyscy przyłączyli swe  
głosy, powtarzając chórem zwrotkę  
i uderzając do taktu łyżeczkami w szklan-  
ki i kieliszki.

Młodzieniec śpiewał dalej:

Jak wspaniała nasza postać,  
W oczach iskry, w dłoni stał;  
Koni na miejscu nie chce dostać;  
Pójdziem koniu, pójdziem wda!

Taki los  
Wypadł nam:  
Dzisiaj tu,  
Jutro tam!

Zagrzmiało...

Zamilkli i instynktownie zwrócili  
wzrok ku oknu. Ale przez małe, za-  
rzone, najęczyńszasne szybki, nie mo-  
żna było dojrzeć nieba. Jedno tylko było  
widoczne: że już na dworze dzień zu-  
pełny.

— Wraca burza — zauważył Zrzelski.

— Niech wraca! — rzekł młodzi-  
niec obojętnie... Teraz nam ona ani po-  
może, ani zaszkodzi. Zrobiliśmy swoje —  
należy nam się odpoczynek. — Śpiewaj-  
my.

I zanucił zwrotkę ostatnią. Tej zwrot-  
ce, prócz dzwonienia łyżeczek towarzy-  
szył miarowy odgłos grzmotu. Przy każ-  
dym grzmocie, śpiewający czuli pod sto-  
pami, jakby dreszcz ziemi.



Jak nie mamy żyć wesoło,  
Gdy nie wiemy, gdzie nasz grób?  
Łada kulka świśnie w czoło,  
I na ziemię legnie trup.

Taki los  
Wypadł nam:  
Dzisiaj tu,  
Jutro tam!

Zaledwie skończył — powieki ciężko mu opadły, głowa na piersi zwisnęła — z ust wybiegło krótkie, nerwowe ziewnięcie.

Chciał walczyć ze sobą, lecz walka przechodziła już jego siły. Otworzył na chwilę do połowy oczy i zaraz napowrót je zamknął.

— Wybaczcie... Trzy noce... bez snu...  
— napół nieprzytomnie wyjąkał.

Głowa opadła mu na stół — zasnął snem kamiennym.

Stefa wybiegła i wróciła za chwilę, niosąc poduszkę. Przy pomocy Zrzelskiej, z macierzyńską prawie czułością umieściła ją pod głową narzeczonego.

Wszyscy wyszli na palcach z pokoju.

Pierwszą rzeczą, która ich uderzyła po wyjściu z ciemnicy, była — przepyszna, słoneczna pogoda.

Grzmoty zaś nie ustawały...

Po burzliwej nocy, zabłysnął poranek napodziw piękny i cichy.

Przed samym świtem, cofające się w nieładzie chmury, skropiły ziemię rześistą ulewą. Teraz wychodziła zeń wilgoć lotnym oparem, który otulał miasteczko lekką, przejrzystą, niby muślinową powłoką. Na zachodnim krańcu, gdzie były łąki mokre i trzesawiska, mgła podnosiła się gestym, mleczno-białym obłokiem, tworząc jakby ruchomy a nieprzenikliwy szaniec. Wskroś tego szanieca nie było nawet widać wzgórz, tarnina porośłych, które w tej stronie półkolem opasywały miasto.

Miasteczko, spowite w muśliny i murem obłocznym oszańcowane, spało długo i smacznie. Blachą obita dzwonnica fary i ceglany ostrosłup wieży ratuszowej oddawna kapąły się w słońcu, a w wielu domach i dworach nie odemknęto jeszcze okiennic.

Chwilami, to z tej, to z owej sieni lub furtki, wychylała się postać, do połowy odziana i senna. Niepewnym wzrokiem wodziła przez chwilę po pustej ulicy, potem, dość ziewnawszy, w głąb się cofała.

Dzieci jednak, pomimo znużenia, nie zasnęły. Zbudziły się nawet wcześniej, niż zwykle. W pokoiku zapomniano zapuścić roletę; słońce, świecąc prosto w oczy, spać im nie dało.



Zdziwione, że nie widzą przy sobie matki, wyskoczyły z łóžeczek i pobiegły boso do kuchni.

Marcysia drzemała na stołku, ubrana. Widocznie wcale się nie kładła. Sen chwycić ją musiał przy nastawianiu samowara, gdyż stał on tuż przy niej, napełniony wygasłymi węglami.

Na widok dzieci, dziewczyna zerwała się i dmuchać jeła w zimny komin. Potem obuła je i ubrała. Na zapytanie: gdzie rodzice i pan Władysław? odrzekła, że — to do dzieci nie należy.

Rodzeństwo napojone ciepłym mlekiem, przyniesionem od mleczarki, pobiegło wesoło do ogrodu.

Na kwiatach i liściach stały jeszcze duże krople wody. W miejscach cieni-  
stych ziemia była czarna od wilgoci. Lekki obłoczek przesłaniał wierzchołki drzew.

Gdy dzieci szparą w parkanie wyirzały na rynek, wydał się on im zadymiony. Ciężki, osadzisty gmach ratuszowy, w lotnych oparach tonący, wyglądał jak zjawisko senne.

Po stronie przeciwnej nic prawie nie było widać. Rozlało się tam wielkie, falujące morze mgły. Chwilami tylko wynurzały się stamtąd, nakształt wysep, zielone płaty łąki.

Dzieci oczarował niezwykły widok.

W równym też stopniu były zachwycone ciszą, panującą dokoła.

Przez pewien czas, uławszy się za ręce, powolnym, solennym krokiem chodziły po uliczkach ogrodu, jak po kościele. Rozmawiały nawet szeptem. Ale nastrój solenny w dziecięcej duszy długo trwać nie może. Chłopcy uczuli nagle niezwalczoną ochotę ożywienia czemkolwiek ciążącej im ciszy.

Leszek stanął w miejscu i, niewiadomo poci i na kogo krzyknął:

— Hej ty!..

Pośpieszył za nim Kazio, wykrzykując:

— Hej wy!..

Jadzia, zachwycająca się wszystkim, co czynili bracia, zaczęła śmiać się głośno i w rączki klaskać.

Stało się to hasłem do krzykliwej zabawy.

Dzieci otrząsały na siebie gałęzie obciążone wodą. Gdy któremu chłodne krople spłynęły na plecy, zaczynało krzyzczeć. Wówczas rozbiegły się wszystkie po ogrodzie, wrzawę straszną podnosząc.

Potem Leszek zrobił nadzwyczajne odkrycie: woda, napełniająca kwiaty powojów, miała smak słodki. Natychmiast wszystkie dzieci, wspinając się na palce, zabrały się do wysączania z kwiatów nektaru.



Niebawem niespokojna myśl chłopca w inną stronę pobięła.

— Pamiętacie — zawołał — jak to było? Bum! bum! bum!

— Nie bum — poprawił spokojniejszy Kazio: — lecz: paf!.. paf-paf!.. paf-paf-paf!...

Dziewczynka rozstawiła nóżki, rączki rozsunała, i wydymając tłustą buzię, zawtórzyła braciom:

— Du-du-du-du-du!..

W tej chwili, w zachodniej stronie miasta, zagrzmiało, jakby w odpowiedzi:

— Buuum!

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

— Brawo! wybornie! Jadziu, jeszcze raz!

— Du-du-du-du-du!.. — powtórzyła dziewczynka.

— Buuum! Buuum!.. — huknęło dwukrotnie potężne echo.

Chłopcy zanosili się od śmiechu.

Gdy Jadzia zabierała się do powtórzenia próby poraz trzeci, na mieście rozległ się gwar. Dzieci porzuciły zabawę, pobiegły pędem do parkanu.

Przez szparę pomiędzy deskami ujrzaly widowisko szczególne i tak zajmujące, że im o wszystkim innem zapomnieć kazalo.

Ulicę i rynek, przed chwilą jeszcze zupełnie puste, napełniał teraz tłum lu-

dzi. Większość była do połowy tylko ubrana; wszyscy zaś objawiali nadzwyczajny niepokój: biegali, krzyczeli, rękami w jedną stronę wskazywali.

Wśród tłumu, nakształt kwiatów w łące zbożowym, błyszczały gęste czapki: białe, niebieskie, amarantowe. Czapki zbiegały się z różnych stron we wspólne ogniska. Wkrótce też dzieci spostrzegły z uciechą, że na szarem tle surdutów, kanot i kamizelek, utworzyły się trzy wielkie plamy, a raczej konstelacje, troistej barwy.

Grzmot oddalony znów zatrzęsł ziemią i parkanem.

Tłum krzyknął: „Aaaaa!“ — dzieci powtórzyły: „Du-du-du-du-du!“

Ozwał się jękliwy, jakby płaczący, głos trąbki myśliwskiej. Barwne plamy oderwały się od tła szarego i posunęły szybko na wschód, w stronę przedmieścia, zwanego „Rybitwa“. Był tam most na rzece; za rzeką pastwiska, za pastwiskami — las...

Grzmoty stawały się coraz rzadsze, wreszcie zupełnie ucichły. Tłum zaczął powoli odpływać do domów.

Dzieci, zachwycone „widowiskiem“, zabierały się do odejścia. Wtem nastąpiła nowa zmiana.

W oddaleniu ozwały się trąby. Grały rzeźkiego, wesołego marsza.



Dzieci nadstawiły uszu. Były podniecone, rozradowane.

Muzyka z każdą chwilą stawiała się głośniejsza; grający zbliżali się widocznie. Ile razy trąby przycichły, do uszu dzieci dobiegały dziwne głosy, do pluskania wody podobne. Głosy takie wydają kopyta koni, jadących stępą po bruku. Znaczyło to, że się zbliża liczny oddział jeźdźców.

Ody trąby ponownie zagrały, dźwięki ich były bardzo donośne, a więc i bardzo bliskie. Jakoż po chwili, u wylotu jednej z ulic, dotykających rynku, zabłyśły okazałe, czerwono-złociste mundury „złotych huzarów“.

Długim, połyskującym wężem rozwinął się na rynku oddział kawalerji.

Kawalerja konwojowała karety. Za karetami również postępowali jeźdźcy. Na końcu, niby szeleszczący ogon grzechotnika, turkotało kilka wyładowanych kibitek oraz dwa czy trzy, zielone pomalowane „jaszczyki“.

Cały orszak skierował się w stronę wielkiego gmachu, będącego główną kwaterą generała. Po prostu: wracał do miejsca, które był nocą opuścił.

Wbrew zwyczajowi, nikt tym razem „złotym“ jeźdźcom nie towarzyszył. Nawet gapie miasteczkowi po kątach się pokryli. Nie było ich przy kawalerji, nie

było przy armatach, które przetoczyły się przez rynek w innym kierunku. Były zaś te armaty ciekawsze, niż zwykle, gdyż niesiono za niemi: dymiące się jeszcze lonty. Z ich paszcz wybiegło przed chwilą groźne „ostrzeżenie“; — teraz powracały na stanowisko, uspokojone już i milejące.

Dźwięki marsza rozlegały się po miasteczku głucho, jakby w miejscu zupełnie pustem. I tylko dzieci w ogródku, wrażeniami ostatnich godzin podniecone, zamasyście maszerowały do taktu muzyki, wykrzykując głośno:

— Raz, dwa — raz, dwa — raz dwa...

Około południa wszystko już w miasteczku wróciło do porządku, a raczej: do stanu wczorajszego. Nie zawsze to znaczy toż samo.

Była już piąta po południu, a Władysław spał jeszcze. Stefa z matką od kilku godzin odeszły do siebie. Gościowi rozłożono pościel na zestawionych krzesłach. Nie rozbierając się, legł ciężko, jak kawał drewna.

Wszyscy w domu byli senni, osowiali; poruszali się wolno, ociężale, w posępem milczeniu. Marcysia zgotowała obiad bylejaki. Dzieci wstały od stołu głodne i znudzone. Zaraz też pobiegły do ogrodu, zabrawszy ze sobą dostrzeżo-



na w kacie amarantową czapkę pana Władysława.

Po pewnym czasie, według zwyczaju, pojawił się w ogrodzie Fiedor. Przyniósł pierników, które dzieci z wielkim apetytem zjadły. Potem zaczął strugać konie i opowiadać bajki.

Chłopcy wszczynali kilkakrotnie rozmowę o wypadkach nocnych — żołnierz wcale mówić o tem nie chciał...

Nagle wzrok jego padł na czapkę kolorową, do której Jadzia usiłowała przypiąć znalezione na grzędce pióro kogucie. Zadziwił się niezmiernie i poprosił, aby mu czapkę pokazano. Z niezwykłym wyrazem twarzy obejrzał ją, kręcąc i kiwając głową; wreszcie spytał dzieci: czyja jest i skąd się wzięła?

Chłopcy wygadali wszystko, co im było wiadome o czapce i jej właścicielu. Żołnierz nie przestawał kręcić głową.

— Ah, ty Boże mój! — Ah ty Hospodii!... — pod nosem mruczał.

A do dzieci zwracając się, rzekł głośnie:

— Ah wy, durnieńkie!

Nagle zapytał:

— Tak i gdzież on, ten „pan Ładysław?”

— Śpi! — zawołały dzieci chórem.

— Nu, Boh z nim; niech śpi. Ale w tem bieda, co obudzić jego mogą.

— Oho! — odezwał się rezolutnie Leszek. — Nie wiem, kto by tego dokazał. Ja pana Władysława za rękę ciągnąłem, to tylko coś zamamrotał i na drugi bok się przewrócił.

— Nu, nu, nu — dziwił się Fiedor. — A trafić to do niego łatwo?

— Co ma być trudno. Prosto korytarzem i tyle. Na samym końcu ciemna śpiżarka, a w śpiżarce pan Władysław.

Żołnierz słuchał z wielką uwagą. Nagle wyprostował się i głowę wytknął, łowiąc uchem głosy znajome.

Przez szparę w parkanie było widać mały oddział żołnierzy pod bronią. Żołnierze obstawili dom sąsiedni — część, z oficerem na czele, weszła do środka.

Fiedor z nadzwyczajnym pośpiechem wsunął amarantową czapkę do obszernej kieszeni. Następnie, równie śpiesznie ściągnął z siebie szynel, z którym nigdy się nie rozłączał.

Zrobiwszy to, z szynelem w ręce i w czapce na głowie, rzucił się gwałtownie do mieszkania Zrzeńskich.

Zdziwione, przelekłe dzieci nie poruszały się z miejsca.

Po małej chwili, żołdat zjawił się z powrotem, niosąc kogoś w obu rękach, jak małe dziecko. Wbiegł szybko do ogrodu i człowieka niesionego na trawie złożył. Następnie umieścił na jego głowie



swą czapkę żołnierską, w ten sposób, że ma całą twarz zakryła.

Zrobiwszy to, wpadł do kuchni, wyniósł wielki samowar i ścierkę. Z samowarem siadł na trawniku i z wielkim rozmachem wycierać go zaczął.

Nie ubiegło trzech minut, gdy dom i ogród zostały obstawione uzbrojonymi żołnierzami. Dziesięciu ich może, pod wodzą oficera, zjawilo się na podwórzu.

Oficer wydał rozkazy — część żołnierzy wtargnęła do domu, część rozbiegła się po zabudowaniach gospodarskich. Dwaj zeszli do piwnicy; jeden zaczął dach opatrywać.

Oficer wszedł do ogrodu.

— Ty gdzieś czto? — spytał salutującego Fiedora.

— Chlebiec prodaju, wasze... rrodje, samowarcziki ciszczu.

— A on czto? — na leżacego wskazał. — Probudi duraka!

— Izwinitie, wasze... rrodje. Niewozmożno. Czelowiek jest' pjanij, miertwiecki pjanvj...

— Swinja. Tiy!

Oficer zawrócił i wyszedł z ogrodu.

W kilka minut później wojsko opuściło dom, nic i nikogo nie znalazłszy.

Gdy noc zapadła, z mieszkania Zrelskich wyszedł stary, przygarbiony wieśniak w siermiędze, z długimi włosami,

spadającymi na twarz z pod słomianego kapelusza. Wieśniak skierował się ku rzece. Gdy doszedł do brzegu, podpłynął doń na małej łódce rybak. Można było mniemać, że już tam czekał na niego.

Wieśniak, dostawszy się na drugą stronę, mimo spóźnionej pory i głębokich ciemności, rzeźkim krokiem młodzieńca puścił się przez łąki w stronę lasu...

— No, Fiedor, zuch z ciebie. Grackoś się spisał, ani słowa. Widzę, żeś ty naprawdę człowiek dobry. Dziękuję ci. A tu masz na tytoń...

Zrelski położył na stole dziesięci-rubłwkę.

Żołnierz stał wyprostowany, z miejsca się nie ruszał.

— Weź, to dla ciebie — powtórzył Zrelski, posuwając banknot w stronę Fiedora.

Tamten odchrząknął i rzekł:

— Pozwólcie, pan Zrelskij. Ja nie po diengam to zrobił.

Pomyślał chwilę.

— Ja dumaju — mówił — co wy, baryń, zrobiliby to samo dla Fiedora, choć Fiedor człowiek biedny, i bumażek u niego niema. Gospod Boh wszystkich miłować przykazał. W cerkwi u nas i w wa-



szym kastiole, wszystko o tem mówią. Byłby on chrancuz, turek, daże jewrej, zrobiłby ja tak samo. Cóż my, grzeszni ludzie? Glina da proch. Dziś ty, brat mój, charosz, krepki, maładiec; a jutro już nie twoje. Zasnął ty tu, a obudził tam. A tam Gospod Boh i pyta: „Durak ty takoj, mów ty mnie, co dziełał, żyw bywszy? Miłował ty blizniawo twojewe, tak pomiluju i ja ciebie i grzechów twoich.“

Mówił zwolna, z zastanowieniem, głosem ciekim i śpiewnym. Chwilami brzmiało to nieco sztucznie i jakby afektacyjnie. Znać było jednak, że żołnierz cudzej lekcji nie powtarza, lecz bierze wszystko z siebie: z własnych uczuć, z własnych rozmyślań.

Zrzelski wszakże podejrzewał szczerść tych wyznań, a przynajmniej starał się być względem nich ostrożnym.

— No, no — rzekł dobrotliwie — wszystko to prawda, jednak... kilka rubli na tytoń zawsze się przyda. Od dobrych ludzi dzięgi wziąć można.

— Prawda wasza, baryń — odzeki żołnierz z powagą. — Dziengi rzecz święta, ich zawsze brać trzeba, kiedy od duszy, po dobroci dają. Mnie diengi nie nużny: u mnie jest żalowanie i jest co niebądź za robotę. Ale wy, baryń, pozwólcie dać bumażku etu dla tioszczy

mojej. Biedniaszka ona, starucha. Chodzić-to ona nie może, przy kominie siedzi, lion priadie, kartoszki pieczet, da jest. A u niej jeszcze i ditiaki są, takie-że mileńkie, jak wasze. Nie matka to ona im, a babuszka. Po synu zostali, co jego ubili czeczeńcy na Kawkazie.

— Mogę dać i ciotce. A gdzie ona?

— Pozwólcie, baryń, zrobić zapisku: „Praksieda Timofiejewna, czernigowskoj guberni, ...ckiego ujezda, imienje Michajłowka, sieło Iwanowka.“

— Pozwólcie baryń, dołożyć Praksiedie Timofiejewnie, co ja zdrowy, po bojażni Bożej żyję, a czorta z siebie precz wyrzucił. A Wasia, krasawiec, czestno siebie wiedzie. Gienierał jego lubi; za dwie, trzy niedziele w pisary go odda. A z tem pozdrawlają tioszczu, ditiątek całuju — i jednego porosionka od czarnej matki proszu dla mnie zostawić i wykarmić.

— Dobrze, wszystko to napiszę. Ale nicze sobie ziemiak, nie zostawisz? Choć na tytońby się przydało.

— Titium — on to dużo nie stoi. Tri kopiejki wy mnie, baryń, dajcie, będę dowolen.

Zrzelski dał mu pięć kopiejek. Żołnierz wyciągnął z kieszeni chustkę, wy dostał z węzelka dwie kopiejki — z pokłonem na stole położył.



Sprawa była załatwiona. Fiedor jednak nie odchodził. Na jego twarzy znać było, że chciałby jeszcze wygadać się z czemś, co go korci, co mu dolega.

— A wiecie wy, baryń — rzekł po chwili odmiennym głosem — ja długo думаł: prawli ja, grzeszny? Młodego człowieka to ja wypuścił, a może być, co on i źle robi? Boh z nim. Dowiedział się, co on obruczony z panienką dobrą, tak mnie i żal stało się panienki. A to, nie daj Boh, w katorguby poszedł; na wieńczenie w kandałoby to jemu zadzwonili. A wszystko, tak i on bliżnij. Nu, i młody bardzo — naprawić się może.

Tu Zrzelski uważał za właściwe wszczać wielką, zasadniczą dysputę teoretyczną...

Żołnierz słuchał najpierw z ciekawością, następnie z niepokojem. Wkońcu, na jego twarzy odmalował się przestach.

Zrzelski nie doszedł jeszcze do połowy swego wykładu — tamten mu prze-rwał:

— Zostawcie to, baryń. To nie moje dzieło. Człowiek ja prosty. U mnie: jeden Boh, jeden car — i po wszystkiem.

Począł przestępować z nogi na nogę, czapkę z ręki do ręki przekładać.

Zrzelski zrozumiał, że słowa jego byłyby głosem wołającego na puszczy. Zawiesił wykład, i rzekł:

— No, ziemiak, pogadamy my jeszcze o tem. Tymczasem, idź z Bogiem. A cygarko weźmiesz?

— Dwa, jeśli pozwolicie.

Marcysia postawiła na swoim.

Jednego dnia, gdy Zrzelscy wyjechali z dziećmi za miasto, Fiedor przyprowadził Wasię.

Blask zalał kuchnię, gdy wstąpił do niej złoty huzar; Marcysia, tak zwykle rezolutna, języka w ustach zapomniała, gdy uklonił się jej po kawaleryjsku, to jest: zsuwając pięty i dzwoniąc głośno ostrogami.

Wasia był ładnym i świeżym chłopcem. W obcisłym uniformie kawalerzysty kształtna jego postać korzystnie się przedstawiała. Głowę miał okragłą, pokrytą krótkim, jasnym włosem; także maleńkie wąsy i oczy niebieskie. W salonie raziłby pewnie jego nos zadarty i kości policzkowe, nazbyt wystające; w kichni uroda „młodca“ przechodziła najwyższą miarę, jaką tu stawiano.

Wizyta miała charakter prawie ceremonialny. Marcysia była, jak olśniona. Z silnemi rumieniecami na twarzy, śmiała się nieustannie sztucznym, suchym śmiechem. Fiedor wpatrywał się w przyrodniego brata jak w tęczę i milczał. Sam



wreszcie bohater był powściągliwy w słowach i przygnębiająco dostoyny.

Wasia, w pułku oddawna służący, zdażył już przejąć od „wyższych stopni“ wytworny, petersburski sposób mówienia. Niepodobna wyobrazić sobie nic wspanialszego, jak jego „tak-sss“, które wymawiał z zaciśniętymi zębami i w ten sposób, że brzmiało niekiedy, jak „tek-sss“.

Huzar przyniósł coś sporego, zawiniętego w kwiecistą, kolorową chustkę. Przy wejściu, zawiniątko dyskretnie złożył na ławce kuchennej. Marcysia udawała, że tego nie widzi; paliła ją wszakże ciekawość, co mieścić w sobie może okazała chustka.

Dopiero gdy się stało zadość formom towarzyskim, i gdy rozmowa ożywiać się poczęła, sięgnął Wasia po zawiniątko. Z kwiecistej chustki wyjął flaszkę wódki słodkiej i narzędzie muzyczne, zwane „bałabajką“, potem złożył ją ostrożnie na stole. W chustce były śliwki.

— Otóż to kawaler — pomyślała Marcysia. — Nie taki prostak jak tamten, co tylko pierniki groszowe znosi i „byczka“ na harmonijce wygrywa.

Postawiła kieliszek, fartuszkciem go wytarłszy; śliwki przełożyła na talerz; na drugi nasypała orzechów laskowych, po które sięgnęła do swej „skrzynki“,

malowanej na zielono, w wielkie, czerwone róże.

Poczęli przepijać do siebie we dwoje tylko, bo Fiedor na wódkę patrzeć nie chciał. Przy każdym kieliszku — a były gęste — Wasia wstawał z ławki, wyciągnięty jak struna, przechylał się szybko wtył — jednym łykiem wszystka wódkę wypijał.

Było to nadzwyczaj wytworne. Marcysia nigdy w życiu nie podobnego nie widziała.

Niewiadomo, czy skutkiem odblasku, rzucanego przez czerwony mundur, czy też od gesto wychylanych kieliszków, Wasia stał się wkrótce podobny do ugotowanego raka. Rozwiązał mu się też język. Sztucznym, gardłowym głosem (który w uszach Marcysi brzmiał jak śpiew Serafina) począł rozpowiadać bardzo uciészne dykteryjki pułkowe. Dziewczyna śmiała się do rozpuku, choć nic, a nic nie rozumiała.

Fiedor siedział na drugim końcu ławki i z wielkim spokojem jadł orzechy, rozgniatając je dłonią na stole. Gdy brat począł przebierać miarę w zapale krasomówskim, podniósł głowę, i zanucił cienko:

Ej! Wasia, Wasia. Wasia...



— Czto-sss? — odezwał się tenorem huzar, szyję wykręcając. — Tyby, Fieduszka, nam nie mieszał. Panna Marcysia asoba dielikatna; zaraz i strusiła. Szumięł, brat-sss, i ty. Pomnisz, a-sss?

— Pustiaki! — mruknął tamten, wzgardliwie machnąwszy ręką. — A teraz ja ze wszystkim drugi człowiek. Czorta odstąpił, Gospodu Bohu służę. Muż-to ze mnie będzie dobreńkij, przydobrieńkij

I małe oczki z wyrazem niezmiernej czułości na Marcysię obrócił.

Ale dziewczyna spojrzeniem i duszą całą zatopiona była w złotym huzarze. Wszystko jej było jedno, o czem mówi; słuchała tylko muzyki jego głosu, która ją do siódmego nieba unosiła.

Zachwyt tak ją całą przeniknął, że naprawdę wypiękniała. I obejście się jej stało inne, niż zwykle — powściągliwsze, szlachetniejsze.

Korzystając z pauzy w opowiadaniu, wyciągnęła rękę, końcami palców przebiegać poczęła po strunach bałabajki.

— Proszę pana — spytała z miną „pierwszej naiwnej“ — jak się to na tem gra?

Wasia zrozumiał — i niebawem rozległy się w kuchni brzęczące tony instrumentu.

Huzar grał tylko melodie czułe. Nie „kozackiego“ z pod palców jego nie wybiegło. Zasłuchanej Marcysi zdawało się chwilami, że ją aniołowie unoszą do nieba. Ci aniołowie mieli czerwone, obcisłe mundury, sznurami żółtymi wyszywane...

Zachwycony był i Fiedor. Oczy jego przechodziły kolejno z Wasi na Marcysię, z Marcysi na Wasię...

— Ot, jaki to u mnie brat!.. Ot, jaka to będzie u mnie żonka!..

Te dwie myśli tańczyły nieustannie po głowie „soldata“; wyzierały z jego oczu, uśmiechu, z całej jego postaci.

Tymczasem Wasia zapadł w sentymentalne rozmarzenie (wódka, mimo słodczy, była bardzo mocna). Głowę podniósł do góry, bałabajkę opuścił na kolana, plecami wsparł się silnie o ścianę. W tej postawie pomilczał chwilę, potem przez zaciśnięte zęby zaśpiewał:

Za oknom, w tieni milkajet  
Rysaja gołowka;  
Ty nie śpisz, ditia moje,  
Ty nie spisz, piutowka!..

Nawet Fiedor nadstawił uszu, dziwiąc się skąd brat umie takie pańskie piosneczki. Marcysia, choć tak zachwycona, zdziwienia nie doznawała. Gdyby z głowy Wasi wytrysły nagle promienie, a na ramionach jego zjawiły się jeneralskie szli-



fy, i to nawet wydałoby się jej zupełnie naturalnem.

Po chwili, bałabajka żywiej zabręczała. Śpiewak wznosił oczy do pułapu — głos jego zabrzmiał o kilka tonów wyżej:

Po ulicy mostowej  
Szła dziewczuszka za wodój,  
Za wodój, za chołodnoj.  
Za niej baryn młodoj  
Kryczył: Dziewuszka, postoj  
Krasawica! Podożdi,  
Bieły ruczki podaj mi!..

Ten „romans“ był już zrozumiały i dla Marcysi. Oczarowała ją dworskość „barina“, który tak pięknie przemawiał do noszącej wodę „diewuszki“. (Wasia wymawiał „dżewuszki“, co również należało do huzarskiej elegancji). Rozumie się, że w tej ostatniej widziała ona siebie.

— Ten dziegciarz Fiedor — przebiegło jej przez głowę — nigdy się nie zdobył na takie wyrazy... On tylko łązi i gada: „włubił się w pannę Marcysię...“ — „żeńić się będę na pannie Marcysi...“ i tyle. Niedźwiedź!

Fiedor rozkochanemi oczyma wpatrywał się w swą wybrankę, a serce jego tajało, jak cukier w herbacie. I naksztalt żelaza, przyciąganego przez magnes, posuwał się zwolna ku Marcysi, od której

przedzielała go z początku cała długość ławki kuchennej.

Marcysia spostrzegła to i aż zakipiało w niej od złości. Miała w tej chwili jakby dwie twarze, a raczej na jednej twarzy dwa wyrazy, wręcz odmienne.

Jedno jej oko i jeden kącik ust uśmiechały się słodko do Wasi; z drugiego oka i z drugiej połowy ust wyczierała niechęć do Fiedora.

Soldat nie znał się na tych odcieniach. — Przestrzeń, dzielącą go od lubej, nieustannie zmniejszała się, — chwila jeszcze, a znalazłby się tuż przy niej.

Marcysia ścisnęła pod stołem pięść, próbując ostrożności paznogci na własnej dłoni. I kto wie, czy próby nie powtórzyłaby gdzie indziej — na szczęście, zapobiegł temu Wasia, który właśnie w tej chwili osądził, że należy położyć koniec wizycie.

Zerwał się szybko z miejsca jakby na głos trąbki; wyciągnął się jak struna.

— Nu-sss, dowolno-sss. Fieduszka, nam pora iść. Proszczajcie, mamziel Marcysia.

Powiedział wyraźnie „mamziel“ — co już było szczytem wytworności.

Zaraz też, żwawy i giętki, palce do czoła przyłożył, pięty zsunał, ostrogami zadzwonił i za próg jak fryga wyskoczył. Fiedor pociągnął za nim ocieźale.



Zaledwie uszli kilkanaście kroków, Wasia stanął.

— Słysz, Fiedko — rzekł. — Ja swój płatok ostawił. Pożdaj.

I skoczył zpowrotem do kuchni.

Gdyby Fiedor czytał był Fausta, wiedziałby, że kochanek Małgosi w podobny sposób uwolnił się od towarzysztwa Mefista, aby w altanie ogrodowej odegrać nieśmiertelną scenę pożegnania.

Ale Fiedorowi daleko było do Mefistowej przenikliwości. Gdy, po kwadransie czekania, ujrzał nareszcie nadbiegającego huzara, pierwsze i ostatnie jego pytanie było: czy chustka się znalazła?

Potwierdzająca odpowiedź wprawiła go w humor jak najlepszy. W wybuchu czułości, do Marcysi skierowanym, wyściskał i wycałował Wasię.

Było światło. Dzień, choć ciepły, tchnął smutkiem nadchodzącej jesieni. Nad miasteczkiem, leżącym w nizinie, mokremi łąkami otoczonym, wisiła mgła. Pod wieczór opadła, i jak dym, po ulicach się snuła.

Fiedor spędził cały dzień na służbie. Zwolniony o zachodzie słońca, włóczył się przez pewien czas po miasteczku z kamratami, przyczem przehulał całe trzy kopiejki na pierniki i ulegalki.

Potem padła mu na dusze „chandra“, która wielu, podobnych jemu, trapi co pewien czas, nakształt febry. Coś go ssało pod piersiami; uczuwał ogromną chęć napicia się wódki. Rzucił towarzyszków — iął chodzić sam, nucąc pod nosem dziwne melodje, przeciągłe i jęczące jak wiatr na stepie.

Jak innych miraże niebiańskie, tak jego prześladowały szynkowniane widzenia. Myślał: jak głębokiej, do szpiku kości sięgającej rozkoszy doznałby, upiwszy się aż do utraty przytomności, do zapomnienia o świecie całym...

Szedłby wówczas wąską uliczką w czapce przekrzywionej, zbaczając na prawo, na lewo, tracąc chwilami równowagę i odnajdując ją na murach domów, na plecach przechodniów, na głowach dzieci.

Obudziły się potem albo na miękkiej kupie śmieci, albo w zimnej, wilgotnej ciemnicy, do której wtraciłby go patrol. W obu razach uczułby się zwierzęciem — leśną lub stepową bestją, którą wzięto na łańcuch, ale która, gdy siły wyteży, łańcuch zerwie.

Te wrażenia obce mu nie były. Doświadczał ich niegdyś, dawno już, gdy żył za pan-brat z diabłem.

Dawny druh nacierał nań bardzo energicznie — już prawie rogami bódł go w plecy. Fiedor spostrzegł to i — uczuł



trwogę śmiertelna. Zboczył do zaułka, czapkę z głowy ściągnął — raz po raz żegnać się zaczął.

— Gospodi, pomiluj... Gospodi, pomiluj... — powtórzył kilkadziesiąt razy.

I szparkim krokiem ruszył przed siebie, uciekając jak najdalei od szynków, które rozblyskiwać poczynęły zapalonemi łojówkami.

Na końcu miasta był plac zadrzewiony, razem park i wirydarz. Stało tam kilka ławek drewnianych; rośło trochę kwiatów, zasadzonych i pielęgnowanych ręką „municypalności“.

W godzinach rannych przebywał w parku niańki z dziećmi; przed wieczorem używała przechadzki publiczność wytworna: panowie, przeważnie w mundurach, panie w „krynolinach“ i „kokach“. Gdy mrok zapadł, ludzie stateczni to miejsce omijali. Stawało się wówczas przytułkiem złodziei i — zakochanych.

Fiedor nie należał do żadnej z tych dwóch kategorii — nie poszedł więc do parku, lecz zatrzymał się opodal. Oparł się o płot napół rozwalony, fajeczkę „świcentem“ nabił, zapalił, — w zadumie utonął.

Było już ciemno; mgła z każdą chwilą gęstniała.

Myśli żołnierza to czepiały się bliskich przedmiotów, to odbiegały od nich

daleko — zupełnie, jak dym fajeczki, który raz snuł się przy samych ustach, kiedy indziej chmurką lekką w przestrzeń ulatywał.

Myślał Fiedor o swem nędznem dzieciństwie: o głodzie, który mu nieraz skrecał wnętrzności, o mrozach, które miliony igieł w bosc nogi wbijały.

Przed oczyma stanęła mu żywo jedna noc zimowa, bezlitośnie mroźna, pełna gwiazd na niebie, a iskieł lodowych na ziemi — noc straszna, w której go już, na pół zmarzłego, śmierć za gardło chwyciła...

W uszach dźwięczały mu dzwonki sanek dalekich, które zamiast przybywać, oddalały się od niego; słyszał wyraźnie wycie głodnych wilków, wieszczących mu zgon bliski.

Wzdrygnął się, splunął.

— Propadi! — z gniewem zaklął.

Jednak nie opuszczała go dziwna tęsknota. Było mu na duszy tak prawie źle, jak w ową noc przekłętą.

Aby otrząsnąć się z chandry, myśleć zaczął o Wasi, potem o Marcysi. Te dwie postacie były dwojgiem słońc, od których biło światło na jego całe życie, szare i posępne — życie „krugłego siroty“.

Wasia był jego szczęściem, duma, pociecha, oparciem dla myśli. Nie czuł się samotnym i osieroconym, gdy z Wasią



rozmawiał, gdy na Wasię patrzył, gdy choćby tylko myślał o Wasi. Nie wątpił, że Wasia przeznaczony do celów wysokich, że łąda dzień zostanie „znacznym człowiekiem“, a wówczas i jego, mizeraka, z prochu podniesie. Żonę też roił dla niego świetną, osobę „ważną“, bogatą, mądrą.

Dla siebie wybrał Marcysię. Wad jej nie widział, o niedostatkach zapomniiał, krytykować nie mógł. Kochał. Dlaczego kochał, nie wiedział. Pod tym względem nie był ani mędrszym, ani głupszym od wszystkich zakochanych.

O jednym nie wątpił: że się z Marcysią ożeni, i że ta miłość uczyni go szczęśliwym. Umysł miał ciężki; gdy myśl jaka cwiekiem w nim utkwiała — już niepodobna było wyrwać jej stamtąd.

Zapałił świeża fajeczkę, zanucił coś wesołego — lżej zrobiło mu się na sercu. Zobaczył się już w myśli mężem Marcysi, odnawiającym „domik stareńki“, kopiącym własny ogród, otoczonym kurami i kaczkami, — szczęśliwym.

W tej chwili, o kilka kroków od niego, zjawilo się na drodze dwoje ludzi, przytulonych do siebie. Żołnierz szedł do parku z kochanką.

Pomimo mgły i szarego szynela, zakrywającego mundur, poznał odrazu idącego.

— Wasia! a Wasia! — wesoło zawołał.

Tamten nie obejrzał się — kroku przyspieszył.

Fiedor, biorąc to za figiel, pobiegł za bratem, i dogoniwszy, w plecy po przyjacielsku uderzył.

— Stupaj! — mruknął huzar z gniewem.

Fiedor nie zważał na to, i rozweselony, zwrócił się do towarzyszki brata. Dziewczynie duża chustka całą twarz zasłaniała.

Fiedor, z prostotą zwyczajów, właściwą jego sferze, lewą ręką ujął nieznajomą za ramię, prawą chustkę uchwycił.

— Panienka! a panienka! — zaśpiewał poufale. — pozwól posmotriet'.

Dziewczyna szarpnęła się, chustka spadła... Fiedor stanął jak wryty.

Tamci oddawna już zniknęli w mgle — on jeszcze z miejsca się nie ruszał. Umysł jego, zaskoczony niespodzianką, ciężko pracował nad jej zrozumieniem. Powoli jednak jasnem mu się stało: że mu ukradziono, co miał najdroższego, i że kradzieży dopuścił się ten, co mu był najdroższy.

Gdy to zrozumiał, za głowę się chwycił i zębami zazgrzytał.

— Zmieja... zmieja... — kilkakrotnie głuchym głosem, powtórzył.



Nienawiść uczuł tylko dla kobiety. Gdyby miał ją w tej chwili przy sobie, pchnąłby ją z pewnością „szytykiem“. Nad Wasią litował się. Brat był w jego oczach — ofiarą; był też i owym, skradzionym mu, skarbem.

Czynił te wszystkie refleksje powoli, z wysiłkiem, stojąc wciąż na drodze i nie przestając zgrzytać zębami.

Wreszcie, głowę zwiesiwszy, jak byk, zabierający się do natarcia, zawrócił i w miasto poszedł.

Szynki przy święcie były przepelnione. Wszędzie na jasnych szybach migwały sylwetki biesiadników. Tu i owdzie dudniała głucho katarynka.

W pobliżu mostu była wielka szynkownia, uczęszczana prawie wyłącznie przez żołnierzy. Można było uraczyć się tam wszystkim, co żołdacką dolę ozlaca.

Szynkarz, rudy żyd z niskim czołem, z głęboko wpadłymi oczyma, brał od żołnierzy kopiejki, ale dopytywał pilnie o ruble i „czerwienice“. Wielkimi względami cieszyły się u niego zegarki i złote łańcuszki, nie gardził jednak i odzieżą — nawet przestrzeloną.

Do tego żyda, przezwanego przez żołnierzy „ryżym czortem“, skierował kroki Fiedor. Z miejsca ruszył prędko, ale im bardziej zbliżał się do szynku, tem chód jego stawał się wolniejszym, ociężalszym.

Droga wypadła mu przez most. Był to most stary, o nadpróchniałych deskach, o palach nadgniłych. Wznosił się wysoko ponad rzeką, która w tem miejscu płynęła zwięzonym korytem, ujętym w brzegi spadziste. Woda rwała szwtko, roztrącając się z szumem o podstawę mostu, o szczątki starych, pozieleniałych od zgnilizny pali, które wystawały nad powierzchnię wody.

Fiedor zwalniając stopniowo kroku, zatrzymał się na moście. O poręcz drewnianą wsparty, wdół się zapatrzył. Mgła zakrywała całkowicie rzekę. Most zdawał się wisieć w chmurach, które spodem kłębiły się fantastycznie. Zdawało się, że zakrywają przepaść niezgłębioną.

Z przepaści płynął w górę szum niewyraźny, przerywany, do szeptu licznych ust podobny...

Nagle, przegiętemu przez poręcz Fiedorowi wydało się, że słyszy z dołu syjące wołanie:

— Isz ty... Fieduszka... duszka... duszka.

— Propadi! — zaklął z gniewem, i w chmury nadwodne plunął.

Po chwili stał już przed szynkiem. Drżenie go opanowało, gdy miał drzwi otwierać; mimo to rękę do klamki wyciągnął.



Wtem, tuż za nim, ozwały się świeże, dziecięce głosy:

— Fiedor!.. Soldat!.. Żelazny!..

Kazio, Leszek i Wandzia wracali z matką od znajomych. Nie słuchając upomnień matczynych, pobiegli do swego znajomego i za rękawy ciągnąć go zaczęli.

Fiedor puścił klamkę, odwrócił się i całą trójkę pochwycił na ręce. Chciał mówić — nie mógł. Całował tylko dzieci pokolei, klując je boleśnie szorstką brodą.

Potem pokłonił się Zrzelskiej, i mimo jej protestów, zaniósł wszystko troje na rękach do domu. Stamtąd prostą drogą poszedł do koszar, i spać się położył.

Jednej rocie piechoty i jednemu oddziałowi huzarów rozdano ostre ładunki. Miał wyruszyć na „rozpatrzenie“ sąsiedniego lasu.

Do wyprawy należał Wasia.

Fiedor, którego pozostawiono, struchlał na tę wiadomość. Po raz pierwszy jego „ditiatko“, jego „angiel“, wystawiony być miał na niebezpieczeństwo. Gdyby to było możliwe, chętnie ofiarowałby się na zastępcę, albo udał się za Wasią, aby mu z własnej piersi tarczę uczynić.

Wojsku kazano wyruszyć przed wschodem słońca. Całą tę noc Fiedor nie spał. Choć to było przeciwne regulaminowi, wymknął się za odchodzącymi i, jak szalony, pobiegł do koszar kawaleryjskich.

Mżył deszczyk drobny. W mętnej, piwnicznej świetle rozplywały się zarysy przedmiotów. W powietrzu czuć było szczególny, właściwy jesieni, zapach zwiedłych, butwiejących liści.

Miasteczko spało na oba uszy, pozamykawszy szczelnie wszystkie drzwi, bramy, furtki i okiennice. Żołnierzom zalecono sprawiać się jak najciszej. Wyjść mieli z miasta chyłkiem, bez trąbienia, bębnienia i śpiewu.

Gdy Fiedor przybiegł, już jego Wasia, w pełnym rynsztunku, przytracał siodło do konia i dosiąść go się szykował. Rumiany był i wesoły, jak zwykle; owszem, rumiejszy jeszcze i weselszy. Znać było, że powstrzymuje z wysiłkiem głośnie objawy zapалу, że, gdyby nie wyraźny zakaz, zaśpiewałby „od duszy“ na całe gardło.

Bracia uściskali się serdecznie, choć młodszy unikał wzroku starszego. Ale starszy nie potrzebował mu nic przebaczać, gdyż o nic go nie obwiniął. „Zmieja“ ukąsiła go śmiertelnie w samo serce; pociechę wszakże mu było, że jad nie



dosięgnął ukochanego brata, że nie jest mu on odebrany, i że po dawnemu łączy ich miłość wzajemna.

Już młody huźar dosiadł konia i czekał na komendę, aby pośpieszyć do szeregu, a Fiedor jeszcze stał przy nim i żegnał go, i upominał, i krzyżykami dookoła określał.

Nareszcie dano znak. — Wasia puścił konia, rzucając ostatnie:

— Proszczaj, Fieduszk!

Oddział ruszył stępą, człapiąc głucho po rozmięklej ziemi. Jeźdźcy zgarbili się na koniach, wytykając przed siebie ostre czubki baszłyków. Zaraz przy figurze, stojącej nieopodal, skreśli w prawo, na drogę, która wiała się kręto, między zarosłami.

Oprócz Fiedora, stojącego w miejscu i posyłającego za oddziałem westchnienia i krzyżyki, przeprowadzał go oczami tylko pastuch miejski, który wyganiał bydło w pole, a teraz naciągnął na głowę opończę i patrzył a dziwił się.

Wkrótce deszcz i mgła całkowicie jeźdźców zakryły.

Przez cały dzień włóczył się Fiedor po ulicach, uliczkach i zaułkach, napędzając strachu dzieciom, przekupkom i stra-

ganiarkom, posadzającym go o złe zamiary.

Około południa, obojętnie wysłuchał sygnału, wzywającego „na krupy“, dla-wiła go bowiem tęsknota, o jedzeniu myśleć nie mógł.

Po południu zaszedł do Zrzelskich. Do kuchni nie wstępował, lecz udał się prosto do ogrodu, usiadł na trawniku, i fa-jeczkę zapaliwszy, czekał na dzieci.

Deszcz ustał; chłopcy, ujrawszy przez okno żołnierza, pobiegli do ogrodu. Leszek nie zapomniał wynieść mu, jak zwykle, wielkiej kromki chleba z kielbasą. Fiedor podziękował za przysmak; przymówił się za to grzecznie o — cygarko.

— Dwa cygarka, nieprawda? — zapytał chłopczyk, świadomy zwyczajów znajomego.

— Jedno będzie dosyć — odrzekł Fiedor smutno. — Wasi niema.

— A gdzie Wasia?

— Ujechał.

— Dokąd pojechał?

Żołnierz zaciął się w odpowiedzi.

— Eh! — mruknął, unikając wzroku dziecka. — Nie nasze dzieło. Kazali, tak ujechał.

— A czy wróci? — nie przestawał dopytywać chłopczyk.

Fiedor ostro spojrzał na dziecko.



— A co ty? — zapytał z gniewem. — Myślisz, co Wasia nie wróci?

— Nic nie myślę. Pytałem tak sobie.

— Nie trzeba mówić słów durnych. Wiadomo, kto ujechał, temu i wrócić trzeba.

Nagle oczy mu zapłonęły — jakieś krzywe, złe spojrzenie padło z nich na chłopca.

— A tyby może chciał — zasyczał przez zęby — coby Wasia nie wrócił?

— Et, plecie dziś Żelazny jak na mekach! — zawołał Leszek, i wykrećwszy się, pobiegł do ojca po cygaro.

Fiedorowi choć cygaro zapalił, chmura z czoła nie schodziła. Milczał, pod nosem mruczał, na zapytania nie odpowiadał — od chwili do chwili wodził po dzieciach wzrokiem, jakim wilki w męażerji przyglądają się publiczności.

Zaledwie dokończył cygara, szybko powstał, nic nie rzekł do dzieci, i na ulicę wyszedł.

Niepokój i nuda oczekiwania nurtowały go, czyniąc niecierpliwym i złym. Włókł się ulicą ponury, nasrożony; nikomu z drogi nie schodził. Kilkoro dzieci przewrócił, żydówkę pchnął tak silnie, że wpadła do ścieku; przekupce pieczywa stracił na ziemię kosz z bułkami.

Ustępowali wszyscy przed nim, jak się przed rozjuszonem zwierzęciem ustępuje.

Utkwiło mu w myśli pytanie Leszka, — wszystkie jego myśli około tego pytania krążyły. Wyobraził sobie, że te polskie dzieci pożadają koniecznie śmierci jego brata. Nie mógł pozbyć się tego podejrzenia, jak ryba połkniętego haczyka; jak haczyk ostry duszę mu ono szarpało.

Przyjawszy urojenie za pewnik, myślał, jak wielka tkwiła w tem niesprawiedliwość. Wasia żadnemu z tych dzieci nic złego nie zrobił. Był to „dobry mały“, sam jeszcze prawie dziecko.

Czy zresztą dzieci nie wiedziały, że on Fiedor, ich przyjaciel, nie ma na świecie całym nikogo prócz Wasi? Życzą śmierci tamtemu, to znaczy, że i jego życie im zawadza. A w takim razie, pocóż były obłudne? POCO przymilały się do niego, nazywając swoim kochanym Fiedkiem, Fiedeczkiem, Fiedonkiem?..

Skąd w takich małych istotkach tyle złości?

Zajęty rozwiązywaniem psychologicznej zagadki, nic przed sobą nie widząc, wpadł na gromadkę żydów, szwargocząc na rogu ulicy. Żydzi rozprysli się na wszystkie strony w przerażeniu wielkiem, ale bez krzyku i protestu, bo w owych czasach mundurowi wszystko było wolno.

Tymczasem żołnierzowi wydało się, że dotarł nareszcie do źródła wszystkiego. Dzieci — pomyślał — idą ślepo za



starszymi. Tak one czują i myślą, jak im ojciec czuć i myśleć każe. Ot, i okazało się, że ten Zrzelski, to „ptica“. A „pan Ładysław“ druga „ptica“.

Już on wie teraz, co znaczyły różne słowa, półsłówka, spojrzenia, uśmiechy, z którymi spotykał się, zrozumieć ich nie mogąc.

— Ach, zmieji... zmieji... wsie zmieji... — mówił do siebie, i zębami zgrzytał.

Zatrzymał się nagle i wykrzyknął głośno:

— Jaby ich wsiech...

Nie dokończył, ręką tylko wymownie zamachnął.

Kilku przechodniów, usuwając się na stronę, rzuciło nań ponure spojrzenie. Szewc, śpieszący do domu, z butelką pod fartuchem, osądził:

— Co się panowie dziwita. Przecież to bydlę piłaniuteńkie...

Fiedor, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie, znalazł się po pewnym czasie za miastem, na drodze, którą Wasia odjechał i którą wrócić powinien.

Zbliżał się wieczór. Deszcz ustał. Na zachodzie, ponad szafirową wstążką dalekiego lasu rozstąpiły się chmury, i słońce, wedle ludowego wyrażenia, „obejrzało się“.

Ku temu słońcu i ku temu lasowi szedł Fiedor, jak zahypnotyzowany. Idąc, skracał przestrzeń, dzielącą go od Wasi, a myśl o tem uspakajała go stopniowo. Powoli zniecierpliwienie i złość ustępowały z jego duszy. Poczynał rozważniej i pogodniej na rzeczy patrzeć. Czuł, że gdy ujrzy powracającego Wasie, pozbędzie się natychmiast wszelkiej nienawiści i pogodzi z dziećmi, ich ojcem, panem Władysławem — ze wszystkimi.

Zatopionego w myślach zatrzymała pikietta. Uzbrojony żołnierz krzyknął, że dalej iść nie wolno. Była to ostatnia z linii strategicznych, opasujących miasteczko.

Fiedor z żalem powrócił. Nie odszedł jednak daleko. Przy drodze był rów głęboki — wsunął się doń, na mokrej trawie położył i czekał.

Czekał długo, zapadłszy w odrętwienie dziwne, które go prawie kamieniem uczyniło.

Ale kamień stał się napowrót człowiekiem, gdy nagle, wśród zupełnej już ciemności, ozwała się w oddaleniu dzika pieśń żołdacka.

Wyszedł z rowu, stanął na drodze, słuch i wzrok w stronę pieśni wyteżył.

W kilka chwil później, w mniejszej już odległości, zawarczały bębny, którym towarzyszył wrzaskliwy głos piszczałki.



Drgnął i biec począł naprzeciw nadchodzących. Wkrótce zrównał się z nimi.

Szeregi piechoty minęły go, nie widząc. I on też nie patrzył na nie. Jednak uderzyła go postawa żołnierzy, zgola nie taka, jak rano. Szli ciężko, przygarbieni, z głowami zwieszonemi, znękani widocznie, z sił opadli. Wielu miało zatknięte na bagnety jakieś przedmioty, których w ciemności nie można było rozpoznać.

Gdy nadjechała kawalerja, Fiedor ręce do jeźdźców wyciągnął.

Wasia! a Wasia! — wołać zaczął.

Głos jego, czuły i smutny, przywodził na myśl matkę wiejską, która o zmroku chodzi po polach, zabłąkanego dziecka przyzywając.

Pierwszy szereg jeźdźców minął go w obojętnem milczeniu; drugi zwrócił nań spojrzenie roztargnione; trzeci odpowiedział na wołanie litościwym wzrokiem; w czwartym jeźdźcy pochylili się ku sobie i coś niewyraźnie zaszeptali.

Dopiero z piątego szeregu wypadło słowo jedno, krótkie i ciche, które nie sprawiło więcej hałasu, niż kulka stożkowa, gdy serce przebija..

Następne szeregi zaczęły tem słowem rzucać głośno. W ustach każdego wołającego ono zmieniało się w ostry nóż.

Nożów tych były setki, wszystkie zaś uderzały prosto w pierś Fiedora.

Wyminał go wreszcie cały oddział, wyminały ciągnące za nim długie, kryte, czarne wozy, a to słowo dziwne, tyślącnie i miljonowo rozmnożone, nie przestawało brzęczeć, dzwonić, szeleścić w powietrzu.

Wszystkie drzewa przydrożne i wszystkie na tych drzewach liście i każdy kamyczek na drodze, i każda kropla wieczornej rosy, i każde źdźbło trawy na łące mówiły wyraźnie, do ucha samego:

— Ubit!..

I echa dokoła powtarzały:

— Ubit! ubit! ubit!..

Fiedor zrobił jedną i drugą ręką taki ruch, jakby chciał odegnąć nacierającą nań gromadę drapieżnego ptactwa. Potem pobiegł pędem do miasta.

Bloto i żwir rozpryskiwały się pod jego stopami. Kilkakrotnie potknął się i upadł. Raz wywrócił się na kupę kamieni, twarz i ręce sobie poranił. Biegł jednak pędem, bez wytchnienia, bez pamięci.

Oparł się dopiero — w szynku Ryżego Czorta za mostem.

Dopił już tam pekatą butelkę gorzałki, gdy na chwilę wróciła mu przytomność. Przypomnił sobie, że nie miał pieniędzy.



Przywołał szynkarza, — wręcz mu to oświadczył.

Żyd popatrzył na niego z podełba.

— Niciewo — zaszeplecił. — U ciebie tera niet kopiejek, a zawtra ty możes mieć ruble i dukaty. A nie budzie u ciebie dzienieg, tak naidzieś srebnny ili zaloty ciasy. A popadnie tobie ładne kalco ili ciepočka, ili coniebadź srebnawo ili zolotawo, tak pryniesi. Ja wsio wezmę i gorielki dam kriepekij, chorosiej. Niciewo, ziemiak, niciewo!

Więc Fledor, z zupełnym już spokojem pił a pił a pił...

Zaraz nazajutrz urządzono powtórna wyprawę.

Należał do niej i Żelieznyj.

Stał w szeregu pijany, ale znać tego po sobie nie dawał. Trzymał się prosto i sztywno; wydawał się Herkulesem w szynelu. Twarz jego miała wyraz dziki i nieubłagany; pod nasuniętymi brwiami małych oczu prawie wcale widać nie było.

Ktoby zajrzał w te dwie ciemne głębie, cofnąłby się z przestachem.

Śmierć z nich wyzierała.

Oddział powrócił wieczorem z pieśniami i muzyką. Żołnierze, załedwie zło-

żyli broń i tornistry, rozbiegli się po mieście.

Najliczniejsza kompania udała się, jak zawsze, do Ryżego Czorta.

Znajdował się w niej i Żelieznyj.

O szarej godzinie przysła do Zrzelskich Szmulowa, garbata żydówka, handlująca używaną odzieżą. W dużej płachcie miała pełno starych spódnic, kaftanów, surdutów, dzieciennych sukienek.

Zrzelska przerzucała wszystko obojętnie, żadnej chęci nie objawiając do kupna.

Szmulowa sięgnęła do samego dna płachty — wydostała stamtąd dziwny przedmiot, czerwony i rogaty.

— Może godne państwo to kupi? — spytała.

Zrzelska wzięła ów przedmiot do ręki, ku oknu podeszła, aby go lepiej obejrzeć.

Nagle krzyknęła, trzymany przedmiot upuściła, i bliska omdlenia osunęła się na krzesło.

Maż podbiegł z drugiego końca pokoju, gdzie od godziny palił cygaro po cygarze w milczeniu i smutnej zadumie.

— Co to? co się stało? — zawołał, ujmując żonę za obie ręce.

Zrzelska, z twarzą pobladłą, która w mroku wydawała się kredowo-biała,



wskazała oczami przedmiot, leżący na podłodze.

Podniósł go, do okna przystąpił — długo, długo wpatrywał się weń w osłupieniu.

Wreszcie obrócił się do żydówki:

— Skąd masz tę czapkę? — spytał.

— Na ulicy kupiłam; od jednego pijaka kupiłam. Niech godny pan kupi, sprzedam niedrogo. Un miał jeszcze fajny zegarek i pierścionie złociste, ale wszystko przepił u tego rudego, kole mostu.

Zrzelski nie nie odpowiadał, zajęty rozpatrywaniem plam na czapce, które w półświecie mrącego dnia wydawały się czarnymi.

— Tego pijaka — ciągnęła żydówka — to nawet godne państwo zna. Un tu często przychodzi, z dziećmi się bawił...

— A!..

Było już po północy. Światła oddawna pogaszono. W miasteczku panowała głęboka, martwa cisza.

W pobliżu mostu otwarto nagle z hałasem drzwi szynkowni. Przez chwilę słychać było szamotanie, połączone z przytłumionym wyciem i wrzawą licznych, szwargocących głosów. Potem wypchnięty został na ulicę pijany żołnierz — drzwi napowrót zatrzaśnięto.

Zgrzytnął klucz, zatrzaśnięto rygle, zadzwoniła kłódka — wszystko zapadło w poprzednią ciszę.

Żołnierz stał przez chwilę w miejscu, potem zaczął iść, a raczej suwać się w stronę mostu. Chód jego był ciężki, kamienny; sam on wydawał się, jak z kamienia. Nie zataczał się, nakształt zwykłych pijaków, lecz sunął sztywno, jak kataleptyk.

W chwili, gdy wstępował na most, z poza czarnego, nadbrzeżnego śpichrza, wysunął się brzeżek tarczyskowej. Srebrne światło drasnęło ukośnie powierzchnię rzeki i deski mostu. Fale i most wystąpiły nagle z cienia, jakby za podniesieniem zasłony.

Jasna, wąska smuga, ostro wykreślająca się w mroku, wyglądała, jak gośmińca, srebrem nabijany, z ziemi do nieba wiodący.

Żołnierz wstąpiwszy w smugę, zatrzymał się olśniony, i po raz pierwszy od wyjścia z szynku zatoczył się. Potem zamiast iść dalej w mrok, poszedł w kierunku smugi. Doprowadziła go ona do poręczy mostu. Stał — osłupiały wzrok na wodę obrócił.

Fale, łuską srebrzystą potrzaśnięte, pełne były ruchu, życia, głosów.

W wirującej i pryskającej pianą głębinie coś płakało, coś się skarżyło, przyzywało.



Zaledwie żołnierz do poręczy przystał,  
i, wybiegły stamtąd szept:

— Isz ty... isz ty... isz...

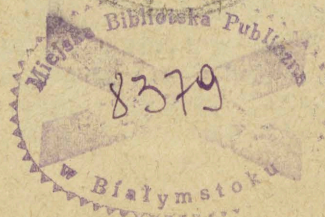
Przechylił się przez poręcz, aby lepiej słyszeć.

Głębia zaszeptala czule, pieszczotliwie, głosem rodzonego, nad wszystko ukochanego brata:

— Fieduszka... duszka... duszka... duszka...

— Wasia! a Wasia!.. — wybełkotał z trudnością.

Przebiegł się bardziej jeszcze przez poręcz, i równowagę stracił...





8379

